

HEKTOR MALOT.

BEZ RODZINY

POWIEŚĆ

NAGRODZONA PRZEZ AKADEMJE FRANCUSKĄ.

OPRACOWAŁA DLA MŁODZIEŻY

STEFANJA TUCHOŁKOWA.

WYDANIE DRUGIE.



MIKOŁÓW, G. Ś.

NAKŁADEM I DRUKIEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KAROLA MIARKI.

HEKTOR MALOT.

BEZ RODZINY

Powieść

NAGRODZONA PRZEZ AKADEMJE FRANCUSKĄ.

OPRACOWAŁA DLA MŁODZIEŻY

STEFANJA TUCHOŁKOWA.

WYDANIE DRUGIE POPRAWIONE.



MIKOŁÓW, G. Ś.

NAKŁADEM I DRUKIEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KAROLA MIARKI.

10070/66

SL 41.62 g

214325

I

D. H.

Amey, G. W., K. W.

6.7.66 25.11



I.

Na wsi.

Jestem podrzutkiem. Lecz aż do ósmego roku życia myślałem, że mam tak samo, jak inne dzieci, matkę; gdyż, kiedy płakałem, brała mnie kobieta w swe objęcia i tuliła słodko tak długo, dopóki łzy me płynąć nie przestały.

Gdy kładłem się do łóżeczka, ścisłała mnie zawsze na dobranoc; a gdy wiatr grudniowy ciskał śniegiem o szyby okien, rozgrzewała me zziębnięte nóżki i rączki w swych dłoniach, nucąc mi przytem piosenkę, której melodie i niektóre słowa zachowałem dotychczas w pamięci.

Gdy pasając naszą krówkę przy drogach lub na pastwiskach, zaskoczony zostałem burzą ulewną, wybiegała mi naprzeciw i okrywała mi głowę i ramiona swą wełnianą spódnicą.

Wreszcie, gdy posprzeczałem się z którym z moich towarzyszy, słuchała cierpliwie opowiadań o moich zmartwieniach i zawsze znalazła dla mnie jakieś słowo pociechy, lub przyznawała mi słuszność.

Tkliwy sposób, w jaki się do mnie odzywała i w jaki na mnie spoglądała, jej czułe pieśszoty, a nawet słodczy, jaką przy karceniu mnie zachowywała, — wszystko to sprawiło, że kochałem ją i uważałem za matkę. — Ale ona była tylko moją karmicielką; — dowiedziałem się o tem zupełnie niespodzianie.

Wioska, w której się wychowywałem, z powodu swych nieurodzajnych gruntów należała do najbiedniejszych w całej Francji.

W zacisznym zakątku nad brzegiem strumyka, który toczy swe fale do dopływu Loary, wznosi się dom, w którym spędziłem pierwsze lata mego życia.

Aż do ośmiu lat nie widziałem nigdy mężczyzny w tym domu. Matka moja nie była jednak wdową, lecz jej mąż, który był z zawodu kamieniarzem, pracował tak, jak tylu innych robotników z okolicy, w Paryżu i jak tylko pamięcią zasięgnąć mogłem, nie przyjeżdżał nigdy do domu. Od czasu do czasu tylko przysyłał wiadomości o sobie przez którego z powracających do wsi kolegów.

— Matko Barberin, waszemu mężowi powodzi się dobrze. Polecił mi, abym wam powiedział, że robota mu idzie i abym wam wręczył pieniądze, które przeliczcie.

To było wszystko. Matka Barberin zadawała sobie temi wiadomościami. Jej mąż był zdrow, miał zajęcie, zarabiał na życie.

Nie trzeba jednak przypuszczać, że Barberin tak długo pozostawał w Paryżu dla tego, że nie miał przywiązania do swej żony. Bynajmniej.

Praca tylko zatrzymywała go w Paryżu i powróciłby chętnie do swej żony, gdyby zebrał dosyć pieniędzy, które uchroniłyby ich na starość od biedy.

Pewnego wieczora listopadowego jakiś nieznany człowiek zatrzymał się przed naszym ogródkiem. Otworzył wrota, które zaskrzypiały w zawiasach i zbliżał się ku domowi.

Na skrzyp zawias wybiegła matka Barberin w chwili, gdy przybysz przekraczał próg naszego mieszkania.

— Przynoszę wam wiadomości z Paryża, — rzekł.

Były to zwykłe słowa, które już tylokrotnie odbijały się o nasze uszy, ale niezwykle był ton, jakim teraz były wymówione.

• — O! mój Boże! — zawołała matka Barberin, zalamując ręce, — niezawodnie nieszczęście spotkało Hieronima.

— A więc tak, — brzmiała odpowiedź, — ale nie miejcie obawy o życie waszego męża. Jest on tylko ranny, lecz może zostanie kaleką. Tymczasem znajduje się on w szpitalu. Leżałem w tej samej sali, co i on, a gdym opuszczał szpital, by wrócić w te strony, prosił mnie, bym wstąpił po drodze do was i wam to wszystko opowiedział.

— Mąż wasz odniósł rany swe przy załamaniu się rusztowania, które go przytłoczyło, ale w tym czasie nie powinien się być tam znajdować, więc też przedsiębiorca budowlany odmówił mu wszelkiego odszkodowania. Namówiłem go jednak, by wytoczył proces przedsiębiorcy.

— Proces kosztuje wiele pieniędzy.

— Tak, ale te się zwrócą, gdy wygra się proces.

Matka Barberin chciała jechać do Paryża, lecz podróż była daleka i kosztowna.

Nazajutrz rano poszliśmy na wieś poradzić się proboszcza. — Napisał on list do ks. kapelana szpitala, w którym znajdował się Barberin. W kilka dni później przyszła odpowiedź, aby matka Barberin nie udawała się do Paryża, lecz aby przysłała mężowi pewną sumę pieniędzy na proces przeciw przedsiębiorcy budowlanemu.

Upływały dnie, tygodnie. — Od czasu do czasu nadchodziły listy, a w każdym Barberin domagał się pieniędzy. W ostatnim liście, bardziej nagłym niż poprzednie, domagał się, aby sprzedać krówkę, jeżeli brakuje gotówki.

Ci tylko, którzy znają zbliżone życie wieśniaków, wiedzą, ile okropności zawierają w sobie te słowa „sprzedać krówkę“.

Najbiedniejszy i choćby liczną rodziną obdarzony wieśniak, nie zazna głodu, dopóki ma w swej obórcie krówkę. — Na postronku, a nawet na zwyczajnym sznurku zaczepionym o rogi, oprowadza dziecko krówkę wzdłuż dróg, ponad któremi rośnie trawka, nienależąca do nikogo, a wieczorem cała rodzina ma maselko

do zupy i mleko do kartofli. Całą rodzinę, — ojca, matkę i dzieci, wielkich i małych — żywi krówka.

I nas, mnie i matkę Barberin żywiła nasza krówka, lecz była nietylko naszą żywicielką, ale i towarzyszką i przyjaciółką. Nie należy sobie bowiem wyobrażać, że krówka jest stworzeniem głupim, przeciwnie, to zwierzątko pełne rozumu i zalet. Pieściliśmy często naszą krówkę, przemawialiśmy do niej, a ona nas rozumiała. Gdy zaś spojrzała na nas swemi wielkimi, okrągłymi, pełnemi łagodności oczyma, wiedzieliśmy zaraz, czego jej potrzeba. Kochaliśmy ją i ona była do nas przywiązana.

A jednak trzeba się było z nią rozstać, gdyż tylko przez sprzedaż krówki można było zadowolnić Barberina.

Przyszedł handlarz i obejrzawszy dokładnie „graniastą“, oświadczył, że ona niewiele co warta, ale gotów ją wreszcie kupić z dobrego serca i przez przyjaźń, jaką czuje dla matki Barberin.

Biedna „graniasta“, jakby rozumiejąc, co się święci, nie chciała w żaden sposób wyjść z obórki i zaczęła ryczeć żałośnie.

Matka Barberin wzięła więc ją sama na postronek i wyprowadziła na drogę, a handlarz przywiązał ją do tyłu swego wózka. Podciął konia, a „graniastą“, chcąc nie chcąc, musiała za wózkiem podążać.

Weszliśmy do domu, dokąd jeszcze długo dochodziły jej żalosne porykiwania.

Nie mieliśmy już teraz ani mleka, ani masła. Musieliśmy jeść suchy chleb i kartofle nieokraszone.

Nadszedł tłusty wtorek, w którym to dniu za lat poprzednich matka Barberin napiekła mi zawsze chruścików i pączków i cieszyła się, patrząc, jak zajadałem jeden po drugim.

Ale wtedy „graniasta“ dostarczała nam mleka do podlania i masła do okraszenia i usmażenia ciasta.

— Niema teraz „graniastej“, — mówiłem smutno sam do siebie, — niema mleka, ni masła, nie będzie więc chruścików, ani pączków.

Tymczasem matka Barberin sprawiła mi wielką niespodziankę. Poprosiła jedną ze swych sąsiadek o trochę mleka, drugą o kawałek masła i gdy koło południa wszedłem do izby, zastałem matkę Barberin zajętą wysypywaniem mąki do koponki.

— Ach! mąka, — rzekłem, zbliżając się.

— Tak, to mąka, mój mały Remi, — odparła, uśmiechając się.

Nie śmiałem zapytać się, do czego ma być zużyta ta mąka, nie chcąc sprawić przykrości matce Barberin.

— Do czego używa się mąki? — zapytała, spoglądając na mnie. — Na chleb. — I na co jeszcze? — Na zupę. — I na co jeszcze? — Nie wiem. — O tak, ty wiesz, dobry, mały chłopcze, że to dziś tłusty wtorek, dzień pączków i chruścików, lecz wiesz także, że nie mamy masła ani mleka, więc nie chciałeś o tem mówić. Nieprawdaż?

— O! matko Barberin!

— Widzisz, odgadłam to wszystko i postarałam się o to, aby tłusty wtorek nie wypadł zbyt chudo. Zajrzyj tylko do garnka.

Uniosłem żywo pokrywkę i spostrzegłem mleko, masło, jaja i trzy jabłka.

— Podaj mi jaja, — rzekła matka — i w czasie, gdy je rozbiję, ostruż jabłka.

Gdy ciasto było już zaprawione, matka Barberin postawiła naczynie z ciastem na gorącym popiele, gdzie miało stać aż do wieczora. Przy kolacji mieliśmy piec pączki i chruściki.

Przyznać się muszę otwarcie, że dzień dłużył mi się niesłychanie. Niejednokrotnie zaglądałem do rosnącego ciasta, którego miły zapach mnie nęcił.

— Narąb drewek. — rzekła mi wreszcie matka Barberin, — trzeba naniecić silny ogień.

W mig rozpalony był ogień.

— Przystaw masło na ogień, — rzekła.

Nie potrzeba było powtarzać tego rozkazu, na który z niecierpliwością oczekiwałem.

Po chwili rozszedł się miły zapach smażącego się masła. — Nasza chałupka wydała mi się pałacem.

Przysłuchiwałem się z przyjemnością, jak ogień wesoło trząskał i jak się masło w garnku smażyło. Naraz zdało mi się, że słyszę szelest kroków na podwórku.

Któż mógłby przyjść przeszkodzić nam w tej godzinie? Jaka sąsiadka chce zapewne poprosić o światło. — Lecz nie zastanawiałem się nad tem dłużej, bo matka miała właśnie gotowe ciasto wrzucać do garnka; nie była to więc chwila odpowiednia na rozmyślania.

Wtem rozległ się stuk kija na progu. Drzwi rozwarły się gwałtownie.

— Kto tam? — zapytała matka Barberin, nie odwracając się.

Do izby wszedł jakiś człowiek i w blasku płomienia, jaki padł na niego, dojrzałem, że miał na sobie białą bluzę, a w ręku trzymał wielki kij.

— Ach! to wy tutaj taką fetę sobie wyprawiacie, — zawołał groźnie.

— O mój Boże, — zawołała matka Barberin, odstawiając prędko garnek, — to ty jesteś, mężu mój, Hieronimie!

Poczem chwyciwszy mnie za ramię, posunęła mnie ku przybyszowi, który zatrzymał się na progu.

— To twój ojciec, — rzekła do mnie.

II.

Przybrany ojciec.

Przybliżyłem się ku niemu, chcąc go uściskać, lecz odepchnął mnie końcem swego kija.

— Jakto! — rzekł do matki, — to on tu jeszcze jest? Przecież powiedziałaś mi...

— Tak, lecz to była nieprawda.

— Ach! nieprawda, nieprawda!

Postąpił kilka kroków ku mnie i podniósł swój kij, jakby do uderzenia.

Bezwiednie cofałem się. Cóż uczynilem? Jakaż była moja wina? Dla czego tak mnie witał w chwili, gdy chciałem go uściskać?

Nie miałem czasu rozważać tych różnorodnych myśli, jakie kłębiły się w moim strwożonym umyśle.

— Widzę, że chcieliście obchodzić tłusty wtorek, — rzekł. — To dobrze, gdyż mam rzetelny głód. Co masz na wieczrę?

— Zarabiałam pączki.

— Pączkami się nie najem, bo zrobiłem dziś dziesięć mil drogi na piechotkę.

— Nie mam nic innego. Nie oczekiwaliśmy ciebie.

Rozejrzał się naokół. Spojrzał w stronę, gdzie nad kotliną wisiała dawniej zawsze słonina na haku, lecz nie było tam już jej oddawna. Z haka zwieszał się tylko pęczek czosnku i cebuli.

— Otóż cebula, — rzekł, strącając kilka cebulek końcem swego kija. Odstaw ciasto, a ugotuj nam supę z cebulą zasmażoną w maśle.

Matka Barberin nic nie odrzekła, lecz uczyniła to, czego żądał jej mąż, który tymczasem rozsiadł się na ławce w rogu przy kotlinie.

Nie śmiałem ruszyć się z miejsca. — Wsparty o stół, przypatrywałem się.

Matka Barberin postawiła garnek na ogień.

— Z tem żdziebełkiem masła chcesz supę ugotować, — rzekł ojciec i chwytając miseczkę, na której było rozpuszczone masło, wlał wszystko w garnek.

Nie było już zatem masła; nie będzie więc można upiec chruścików i pączków.

Kiedyindziej byłoby mnie to wielce zmartwiło, ale w tej chwili nie myślałem ani o chruścikach, ani o pącz-

kach. Zaprzętała mnie całkowicie myśl, że ten człowiek tak groźny jest moim ojcem.

Mój ojciec, to mój ojciec, — powtarzałem w myślach bezwiednie.

Nigdy dotychczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, co to znaczy mieć ojca. W moim dziecięcym umyśle wyobrażałem sobie, że ojciec to jest matka, obdarzona grubym, męskim głosem. Patrząc teraz na tego ojca, który mi spadał z nieba, zdjęty byłem bolesną, niewypowiedzianą trwogą.

— Nie stój tak nieruchomo, jakbyś przymarzył do swego miejsca, — rzekł naraz ojciec do mnie, — lecz postaw miski na stół.

Spełniłem spiesźnie to, co mi rozkazał.

Zupa była ugotowana. — Matka nałapała ją na miski.

Wtedy ojciec wstał ze swego miejsca przy kotłynie i usiadł przy stole. Jadł, spoglądając raz po raz z pod oka na mnie.

Byłem tak zmieszany, tak niespokojny, że nic prawie jeść nie mogłem. Ukradkiem spoglądałem także raz po raz na ojca, spuszczać oczy, gdy spotkałem się z jego wejrzeniem.

— Czy on zawsze tak mało jada? — zapytał żony, wskazując na mnie łyżką.

— Owszem, on ma zazwyczaj dobry apetyt, — odparła.

— Więc chyba nie jesteś głodnym? — zapytał mnie.

— Nie, — wyjąkałem.

— Połóż się zatem do łóżka i staraj się usnąć natychmiast, bo jak nie, to się rozgniewam.

Matka Barberin rzuciła mi wymowne spojrzenie, abym był posłuszny rozkazowi, lecz i tak nie byłbym pomyślał o oporze.

Tak, jak to jest zazwyczaj w chatach wieśniaczych, nasza kuchnia była zarazem naszą sypialnią. — Łóżeczko moje znajdowało się w rodzaju rozkładanej na noc szafy, zasłoniętej parawanem z czerwonego płótna.

Rozebrałem się pospiesznie i położyłem, ale usnąć nie mogłem w żaden sposób.

Jeżeli ten człowiek jest moim ojcem, — rozmyślałem, — to dla czego obchodzi się ze mną tak surowo?

Z noskiem przytulonym do ściany, usiłowałem odpędzić precz te myśli i zasnąć; lecz było to niemożliwem. Sen nie przychodził na zawołanie.

Po pewnej chwili poczułem, że ktoś zbliża się do mego łóżeczka.

— Czy śpisz? — usłyszałem pytanie, wymówione przytłumionym głosem.

Bałem się odpowiedzieć i leżałem cicho.

— On już śpi, — odparła za mnie matka Barberin; ledwie się położy, zaraz zasypia zawsze. Możesz mówić teraz wszystko bez obawy, że on to posłyszysz. Jak jest z twoim procesem?

— Przegrałem go. Sędziowie nie przyznali mi słuszności, ponieważ nie powinienem był stać pod rusztowaniem. Przedsiębiorca nie potrzebuje mi nic zapłacić.

To mówiąc, uderzył pięścią w stół i począł kląć głośno.

— Tyle pieniędzy poszło na marne na kosztą tego nieszczęsnego procesu, — rzekł znów po chwili, — a do tego zostałem kaleką na całe życie. Na dobitkę znajduję tu jeszcze to dziecko. Wytlómacz mi, dlaczego nie postąpiłaś tak, jak ci to nakazałem?

— Nie mogłam tak postąpić.

— Nie mogłaś go zanieść do domu podrzutków?

— Nie opuszcza się tak dziecka, które karmiło się swą piersią i które się kocha?

— To nie jest twoje dziecko.

— Zresztą chciałam uczynić tak, jakżeś tego żądał, ale właśnie, gdy go do domu podrzutków odnieść miała, zachorował.

— Ale przecież wyzdrowiał!

— Tak, ale nie zaraz. Po tej chorobie przyszła inna. Kaszlał tak bardzo, biedny malec, że aż serce mi się

ściskało, gdym słyszała go kaszłającego. Tak samo chorował nasz biedny, mały Mikołajek, który nam umarł. Zdawało mi się, że jak go odniosę do miasta, to umrze tak samo, jak tamten.

— W jakim on teraz jest wieku?

— Liczy ośm lat.

— Więc teraz oddam go jeszcze tam, gdzie się oddawna znajdować powinien, choć mu to może nie będzie zbyt przyjemnem.

— Ach! Hieronimie, ty nie uczynisz tego!

— A któż mi zabroni to uczynić? Czy myślisz, że możemy go na zawsze przy sobie zatrzymać?

Na chwilę milczenie zaleгло.

Wzruszenie tamowało mi oddech w piersiach.

— Ach! jak cię ten Paryż zmienił, — rzekła wreszcie matka, — dawniej nie byłbyś się w ten sposób odzywał.

— Być może. Ale zastarów się, że jestem teraz kaleką. Jak mam zarobić na moje i na twoje utrzymanie? Nie mamy nic gotówki. Krowa sprzedana. Nie mamy sami z czego żyć, a mamy jeszcze żywić jakiegoś podrzutka?

— To mój chłopiec.

— Nie, to nie jest ani twój, ani mój. To nie jest chłopskie dziecko. Przyglądałem mu się dobrze w czasie kolacji. Jest on delikatny, chudy, nie ma silnych ramion, ani łydek.

— To najładniejsze dziecko z całej wsi.

— Czy jego uroda go wyżywi? Czyż można być robotnikiem, mając ramiona takie, jakie on ma? To jest pańskie dziecko z miasta, a takie na nic się nam tu nie zda.

— A jeżeli zjawią się kiedy jego rodzice i pytać się o to dziecko będą, cóż im powiesz?

— Jego rodzice? Czyż on ma jeszcze rodziców? Gdyby ich miał, byłiby go już szukali i odszukali w przeciągu tych ośmiu lat. Głupi byłem, przypuszczając, że ma rodziców, którzy się kiedyś o niego dopomną i za-

płacą nam dobrze za jego wychowanie. Idjota ze mnie, żem tak sądził, ponieważ chłopiec owinięty był w bieleliznę z koronkami. Zresztą może już jego rodzice nie żyją.

— Może jednak żyją i dopomną się jeszcze o niego. Jestem przekonana, że tak będzie.

— Jak też te kobiety są uparte!

— Ale jeżeli przybędą?

— No, to pošlemy ich do przytułku. Lecz dość już o tem. Nudzi mnie ta sprawa. Jutro pójdę z nim do mera ¹⁾, a teraz pójdę do mego znajomego Franciszka. W godzinę powrócę.

Drzwi się otworzyły i zamknęły. Mąż matki Barberin odszedł.

Wtedy podniosłem się żwawo na łóżeczku i zawołałem: Mamo!

Przybiegła do mego łóżeczka.

— Czy pozwolisz, mamo, oddać mnie do domu podrzutków?

— Nie, mój mały Remi, nie.

Uściskała mnie czule, tuląc w swych ramionach.

Ta pieśszczota dodała mi odwagi i łzy moje przestały płynąć.

— Więc ty nie spałeś? — zapytała mnie łagodnie.

— Nie mogłem, mamo.

— Nie gniewam się o to, więc słyszałeś wszystko, co mówił Hieronim?

— Tak, ty nie jesteś moją mamą, ale on też nie jest moim ojcem.

— Może powinnam ci była to wpierw powiedzieć, lecz kochałam cię, jakbyś naprawdę był mojem dzieckiem. Twej właściwej mamy nikt nie zna; nikt nie wie kto i gdzie ona jest. Czy żyje jeszcze, czy też niema jej już na świecie?

— Pewnego poranku Hieronim przechodząc w Paryżu szeroką ulicą, wiodącą do ogrodu, posłyszał płacz nie-

¹⁾ Mer znaczy we Francji tyle, co u nas wójt.

mowlęcia. Zbliżył się do furty i spostrzegł małe dziecię złożone na ziemi.

— Było to o świcie, w miesiącu lutym.

— Gdy się Hieronim naokół rozejrzał, by kogoś przywołać, ujrzał jakiegoś człowieka, kryjącego się poza pnem grubego drzewa. Człowiek ten począł teraz prędko uciekać. Bezwątpienia ukrył się on tam dlatego, by zobaczyć, czy kto znajdzie dziecko, które on tam położył. Hieronim nie wiedział co począć z dzieckiem, które na cały głos płakało. Tymczasem nadeszło jeszcze kilku innych robotników i Hieronim idąc za ich radą, odniósł płaczące rzewnie niemowlę do komisarza policyjnego.

— Dziecię nie przestawało płakać. Niezawodnie zimno mu było. Ale gdy i w biurze policyjnym, gdzie bardzo ciepło było, dziecko wciąż płakało, domyślono się, że jest głodne i poszukano kobiety, która je nakarmiła. Wtedy rozebrano niemowlę przed ogniem.

— Był to śliczny, pięcio- lub sześciomiesięczny chłopyszek, różowy, tłusty, prześliczny. Pieluszki i cienka, ozdobiona koronkami bielizna, jaką miał na sobie, świadczyły o tem, że musiało to być dziecko bogatych rodziców. Było to zatem dziecko, które ktoś musiał ukraść, a następnie porzucił. Tak przynajmniej komisarz tę sprawę wytłomaczył.

— Cóż miano z dzieckiem zrobić?

— Po spisaniu wszystkiego, co zeznał Hieronim, powiedział komisarz, że odeśle niemowlę do domu podrzutków, jeżeli między obecnymi nie znajdzie się nikt, ktoby podjął się wychowywać to dziecko dopóty, dopóki się jego rodzice nie zgłoszą i za wysokiem wynagrodzeniem dziecka swego od wychowawcy nie odbiorą.

— Na to odezwał się Hieronim, że weźmie dziecię do siebie. Dano mu je. Miałam właśnie własne dziecię w tym samym wieku. W ten sposób stałam się twoją matką.

— O mamó!

— Po upływie trzech miesięcy straciłam moje dziecko i wtedy przywiązałam się jeszcze bardziej do ciebie. Zapomniałam całkiem, że nie jesteś naszym synem. Na nieszczęście Hieronim nie zapomniał o tem i gdy po trzech latach nie zgłosili się po ciebie twoi rodzice, chciał oddać cię do przytułku. Słyszałeś, dlaczego nie usłuchałam go.

— Ale teraz nie pójdę do przytułku dla podrzutek, — wołałam, tuląc się do niej. — O mamó, nie oddawaj mnie do przytułku, błagam cię.

— Nie, moje dziecko, nie pójdziesz tam. Załatwię to jakoś. Hieronim nie jest złym człowiekiem, zobaczysz; tylko zmartwienie i obawa przed nędzą do tego go nakłaniają. Ale będziemy wspólnie pracowali i ty także.

— Tak, zrobię wszystko, co zechcesz, mamó, tylko nie dawaj mnie do przytułku.

— Dobrze, nie pójdziesz tam, ale pod warunkiem, że będziesz się starał usnąć zaraz. Trzeba, żebyś spał, gdy ojciec wróci.

Uściskała mnie serdecznie i obróciła do ściany. Chciałem zasnąć, ale zanadto byłem wstrząśnięty, zanadto wzruszony, by przywołać na zawołanie spokój i sen.

Przychodziło mi ciągle na myśl dwoje dzieci, które we wsi „podrzutkami“ nazywano. Nosiły na szyjach blaszki z numerami. Były zawsze nędznie odziane i brudne; wyśmiewano się z nich. Inne dzieci wiejskie goniły za nimi i biły tak, jak się ściga i bije psa bezdomnego, za którym nikt się nie ujmie.

Ach! nie chciałem być na miejscu tych dzieci, nie chciałem nosić numeru na szyi; nie chciałem, aby za mną goniono z okrzykiem: „Do przytułku, do przytułku“. Zimno robiło mi się na samą myśl o tem i zęby szczękały mi. Nie mogłem zasnąć, a Barberin miał lada chwilę powrócić.

Szcześnie powrócił później, niż zapowiedział, a tymczasem sen skleił wreszcie me powieki.

III.

Wędrowną trupa synjora Witalisa.

Całą noc spałem pod wrażeniem zmartwienia i lęku. Ledwie nazajutrz zrana się zbudziłem, obmacałem wpieryw moje łóżeczko i rozejrzałem się naokół, aby przekonać się, czy mnie czasem do przytułku nie wyniesiono.

Przez cały ranek Barberin nie odzywał się do mnie wcale i sądziłem już, że odstąpił od swego zamiaru oddania mnie do przytułku. Zapewne matka Barberin z nim się rozmówiła i nakłoniła go do zatrzymania mnie.

Lecz gdy nadeszło południe, Barberin kazał mi wziąć czapkę i iść za nim.

Przestraszony spojrzałem na matkę, ale ta dała mi ukradkiem znak, bym był posłusznym i nie obawiał się niczego.

Nic więc nie odrzekłszy, postępowałem za Barberinem drogą, wiodącą do wsi.

Szliśmy blisko godzinę, a w tym czasie Barberin nie przemówił do mnie ani słowa. — Wreszcie weszliśmy do wiejskiej kawiarni. Odetchnąłem swobodniej, bo kawiarnia nie wydawała mi się miejscem niebezpiecznym.

Barberin zasiadł przy stole wraz z właścicielem kawiarni, ja zaś wsunąłem się w kącik przy kominku i rozejrzałem się naokół.

Naprzeciw mnie, także w kącie, siedział wysoki starzec z białą brodą, ubrany dziwacznie. — Nigdy w życiu nie widziałem osoby żyjącej w pozie tak nieruchomej; starzec podobnym był do figur świętych, wyciosanych z drzewa w naszym kościele.

Pod jego krzesłem usadowiły się trzy psy. — biały pudel, czarna suczka i jedna maleńka, bura psina o spry-

tnym i łagodnym wygładzie. Pudel miał na łbie kaszkiec policyjny, zapięty sprzączką mosiężną na podgardlu.

W czasie, gdy się im ciekawie przyglądał, Barberin rozmawiał półgłosem z właścicielem kawiarni i dosłyszałem, że to właśnie o mnie mówili.

Barberin opowiadał, że chce mnie zaprowadzić do mera i zażądać, by gmina płaciła mu na moje utrzymanie.

A więc to było tem ustępstwem, jakie matka Barberin otrzymała od swego męża. Pojąłem w jednej chwili, że, jeżeli Barberin będzie miał korzyść z tego, że zatrzyma mnie w domu, to mi już nic nie grozi.

Starzec musiał słyszeć także to, o czem mówiono, bo naraz wskazując prawą ręką na mnie, rzekł do Barberina:

— A więc to dziecko panu zawadza?

— Tak.

— I pan sądzisz, że zarząd gminnego przytułku zwróci panu koszt utrzymania tego chłopca?

— Tak, chłopiec nie ma rodziców i jest mi ciężarem. Ktoś musi mi zapłacić za niego. To mi się słusznie należy.

— Nie wszystko otrzymuje się, co się słusznie należy.

— Sądzę, że nic panu nie dadzą.

— W takim razie oddam go do domu podrzutków.

— Wzięłeś go pan do siebie; tem samem przyjąłeś obowiązek wyżywienia go.

— Nie będę go żywił. Wyrzucę go poprostu z domu. Pozbyć muszę się go w każdym razie.

— Podam panu sposób pozbycia się go natychmiast, — odparł starzec po chwili namysłu, — możesz pan nawet na tem coś zyskać.

Domawiając tych słów, wstał starzec ze swego miejsca i usiadł przy stole naprzeciw Barberina. — Rzecz dziwna, w chwili, gdy wstawał, torba skórzana, jaką miał przewieszoną przez ramię, poruszyła się, jakby w niej coś ożyło. Wyglądało to tak jakby miał psa schowanego w lewem ramieniu.

Sledziłem go wzrokiem w okrutnem przerażeniu.

— Pan nie chcesz w żaden sposób żywić dłużej tego chłopca, oddaj mi go pan zatem, ja go wezmę.

— Mam dać panu tego chłopca?

— Przecież chcesz się pan go pozbyć.

— Miałbym dać panu tak pięknego chłopca? —

Przyjrzyj mu się pan tylko.

— Już mu się przyjrzałem.

— Remi, pójdź tylko.

Przybliżyłem się do stołu, drżąc cały.

— Nie bój się, — rzekł mi starzec.

— Niech pan patrzy, jaki to ładny chłopiec.

— Gdyby był brzydkim, nie chciałbym go. Potwory to nie moja sprawa.

— Ach! gdyby był potworem o dwóch głowach, lub choć karłem!

— Tak, wtedy pokazywałbyś go pan za pieniądze; ale on nie jest ani potworem, ani karłem, a za słaby do pracy.

— On słaby? Ależ on zdrow i mocny. Patrz pan, jakie on ma nogi, — mówił Barberin, podnosząc w górę moje spodzienki.

— Bardzo cienkie ma nóżki, — odparł starzec.

— Ale jędrne, przekonaj się pan tylko.

Starzec wychudzoną swoją dłonią obmacał me nogi, potrząsając głową.

Byłem już raz obecnym przy podobnem zajściu, gdy handlarz przyszedł kupić naszą krówkę. Tak samo ją obmacywał i potrząsał głową. Mówił, że nie warto tej krówki kupić, a jednak ją kupił i zabrał. — Ten starzec też mnie zapewne kupi i uprowadzi z sobą. O matko Barberin, o matko!

Niestety nie było jej tu, aby mnie mogła obronić.

— To jest dziecko, jak wiele innych, — rzekł starzec. — Chcesz pan, to wynajmę go od pana? Zapłacę panu 20 franków rocznie za niego.

— Gdy go zatrzymam, przytułek zapłaci mi za niego dziesięć franków miesięcznie.

— Ale przytułek może oddać go komu innemu, i nie pan nie dostaniesz; a do mnie potrzebujesz pan tylko wyciągnąć rękę po pieniądze.

Dobyl z kieszeni portmonetkę, z której dobył cztery monety i pobrząkując niemi, położył je na stole.

— Pomyśl pan, — zawołał Barberin, — że którego-kolwiek dnia mogą się zgłosić rodzice chłopca.

— Jeżeli się zgłoszą, to podzielimy się zyskiem.

— A teraz daję 30 franków.

— Daj pan czterdzieści.

— Nie, to dosyć za usługi, jakie on mi odda.

— A jakież usługi on może panu oddać?

— Będzie mym towarzyszem. Starzeję się już i smutno mi tak samemu przepędzać dnie i wieczory; a zresztą wliczę go do wędrownej trupy synjora Witalisa.

— A gdzież jest ta trupa?

— Synjor Witalis to ja sam, a trupę moją zaraz panu przedstawię.

Mówiąc to, otworzył torbę skórzaną, dobył z niej dziwaczne stworzonko, które poprzednio w torbie się poruszało.

Nie wiedziałem, jaką nazwę nadać temu stworzonku, które po raz pierwszy w życiu widziałem, a które ubrane było w czerwoną, złotem haftowaną jupkę, lecz nogi i ramiona miało gołe, pokryte czarną skórą.

Główka tego stworzenia tak wielka, jak moja piastka, była także czarną. Lecz nadewszystko podpadły mi żywe, lśniące jak szkło, zbliżone do siebie oczy stworzonka.

— Ach, jaka brzydka małpka, — zawołał Barberin.

Te słowa wyrwały mnie ze zdumienia. Nie było to więc czarne dziecko, za jakie wziąłem dziwaczne stworzonko, lecz małpka, o której nieraz już słyszałem.

— Otóż pierwszy aktor mej trupy, — rzekł Witalis, — a nazywa się Żoliś. — Żolisiu, mój przyjacielu. pozdrów towarzystwo.

Żoliś podniósł łapkę do pyszczka i przestał nam wszystkim całusa.

— A teraz, — mówił dalej Witalis, wskazując ręką na białego pudła, — niech synjor Kapi przedstawi siebie i swych przyjaciół towarzystwu.

Wtedy Kapi podniósł się żwawo, stanął na dwóch tylnych łapkach, a przedniemi złożył tak niski ukłon swemu panu, że kaszkietem policyjnym, jaki zdjął z łebka, dotknął się podłogi.

Wykonawszy ukłon, zwrócił się do swych towarzyszy i dał im łapką znak, by się przybliżyli.

Oba pieski wstały natychmiast i wzięwszy się za łapki, uczyniły sześć kroków naprzód, potem trzy kroki w tył i z wielką powagą ukłoniły się towarzystwu.

— Piesek, którego nazywam Kapi, — objaśnił Witalis, — jako najinteligentniejszy ma pod komendą swych dwóch towarzyszy, czarnego Zerbino o lśniącej szerści i tę małą, skromną Psinkę o łagodnym wyglądzie. Z temi to znakomitemi aktorami chodzę po świecie, zarabiając sobie na życie. — Kapi, pójdź tu, mój przyjacielu i zechciej powiedzieć uprzejmie temu chłopcu, który ci się z takim natężeniem przygląda, która godzina teraz.

Kapi zbliżył się do swego pana, odsunął na bok torbę skózaną i łapką dobył z kieszeni kamizelki srebrny zegarek, przyjrzał mu się dokładnie i zaszczekał głośno dwukrotnie, poczem jeszcze trzy razy z rzędu z cicha zaskomlał.

Rzeczywiście były trzy kwadranse na trzecią.

— Dobrze spisałeś się Kapi, dziękuję ci, — rzekł Witalis, — a teraz poproś synjorę Psinkę, aby nam zatańczyła cokolwiek na linie.

Kapi dobył kawał sznurka z kieszeni kamizelki swego pana i dał znak Zerbinowi, który stanął mu naprzeciw i pochwycił łapkami drugi koniec sznurka, puszcza-
jąc go w ruch. Wtedy Psinka zaczęła tańczyć, podskakując lekko, wpatrzona w swego mistrza.

— Widzicie, państwo, — rzekł tenże, — że moi uczniowie są pojętni, ale, aby widzowie mogli jeszcze więcej ich pojętność przez porównanie ocenić, chcę zaangażować tego chłopca do mej trupy, aby odgrywał rolę zwierzątka.

— Jakto, rolę zwierzątka? — przerwał Barberin.

— Aby dobrze odgrywać rolę zwierzątka trzeba mieć rozum, — dokończył Witalis, — a tego zdaje się, nie brak temu chłopcu. Zresztą zaraz się przekonamy. Jeżeli chłopiec ma rozum, to pojmie, że to z korzyścią będzie dla niego, gdy zwiedzi Francję i dziesięć innych krajów, wiodąc życie swobodne zamiast pozostać tu na wsi i chodzić w pole za wołami od rana do wieczora. Jeżeli zaś brak mu rozumu, to będzie płakał i krzyczał, a ponieważ synjor Witalis nie lubi niegrzecznych dzieci, nie weźmie go więc ze sobą i wtedy chłopiec niegrzeczny pójdzie do przytułku, gdzie trzeba ciężko pracować, a jeść mało.

Istotnie uczniowie synjora Witalisa byli bardzo zabawni i musiałoby to być przyjemnie tak sobie z niemi chodzić po świecie, ale wprawdzie trzeba było opuścić matkę Barberin. To prawda, że gdybym odmówił, nie pozostałbym i tak przy niej, lecz posłanoby mnie do przytułku.

Stałem ze łzami w oczach, gdy Witalis pogładził mnie po policzku.

— Nie krzyczysz, chłopcze, a więc masz rozum w tej twojej małej główce, a jutro...

— O! panie, — przerwałem mu, — zostaw mnie u mojej mamy, proszę cię o to.

Lecz Witalis mówił dalej: Daję za tego chłopca 30 franków.

— Nie, czterdzieści.

Wywiązał się spór, który przerwał Witalis:

— To dziecko nudzi się tu, — rzekł, — niechaj idzie bawić się na podwórze oberży.

— Tak, idź sobie na podwórze i zaczekaj, aż cię zawołam, — rzekł Barberin, — bo inaczej rozgniewam się. Musiałem usłuchać.

Opuściłem pokój i siadłem na podwórku na kamieniu, rozmyślając smutno. Do zabawy nie miałem żadnej ochoty. Drżałem z trwogi, jak w febrze, bo losy moje rozstrzygnąć się tam miały.

Rozmowa między Witalisem a Barberinem trwała dłużej, niż godzinę. Wreszcie Barberin wyszedł sam z kawiarni.

Czyż przychodził po to, aby mnie oddać w ręce Witalisa?

— Pójdź ze mną do domu, — rzekł.

— Do domu! Nie opuszczę zatem matki Barberin? Chciałem zapytać się go o to, ale nie śmiałem, bo był w bardzo złym humorze.

Szliśmy całą drogę w milczeniu.

Wreszcie niedaleko domu Barberin, który szedł naprzód, przystanął.

— Wiedz o tem, — rzekł, ciągnąc mnie mocno za ucho, — że jeśli odważysz się pisać przed matką choć słówko o tem, coś dziś usłyszał, to nie poznasz się z własną skórą. A więc pamiętaj!

IV.

Dom macierzyński.

— I cóż powiedział mer? — zapytała matka Barberina, gdy weszliśmy do mieszkania.

— Nie widzieliśmy go wcale. Spotkałem się w kawiarni ze znajomymi i tam się zatrzymałem. Do mera pójdę jutro.

Pewien byłem, że Barberin odstąpił od zamiaru sprzedania mnie Witalisowi.

A jednak mimo zakazu i pogróżek Witalisa, byłbym opowiedział wszystko matce, gdybym się był znalazł choć na chwilę sam na sam z nią; ale Barberin przez

cały wieczór nie opuścił mieszkania. — Położyłem się spać, nie znalazłszy sposobności, na jaką oczekiwałem.

Zasnąłem, mówiąc sobie, że nazajutrz matce wszystko opowiem.

Lecz zbudziwszy się nazajutrz rano, spostrzegłem, że matki niema. Szukałem jej napróżno po całym domu.

— Matka poszła do wsi po zakupna, — rzekł do mnie Barberin, — wróci dopiero po obiedzie.

Dziwna obawa ścisnęła mem sercem. Przeczuwałem, że jakieś niebezpieczeństwo mi grozi.

Barberin śledził mnie wzrokiem, który mnie jeszcze większym niepokojem napełniał. Aby nie czuć jego wzroku na sobie, wybiegłem do ogrodu.

Był to niewielki ogródek, lecz wielkiej dla nas wartości, bo on nas żywił, dostarczając nam prócz zboża wszystko, co spożywaliśmy: pęczki, szablaczek, kalafjory, marchewkę. Każdy skrawek ziemi był wyżyaskany, a jednak matka Barberin dała mi mały kącik, w którym nagromadziłem najróżniejsze rośliny i trawy, które przy pasieniu krówki wykopywałem w lesie lub na pastwisku i przesadzałem potem do mego ogródka, jedno obok drugiego, jak mi się udało.

Bezwątpienia, że mój ogródek nie był pięknym, lecz pięknym mi się wydawał, bo należał do mnie i był mojem dziełem. Zwłaszcza część mego ogródka, w której zasadziłem jarzynę nieznaną we wsi, — bulwy, — była przedmiotem mej wielkiej troskliwości. Powiedziano mi, że bulwy lepsze są od kartofli, bo przypominają smakiem karczochy i inne jeszcze jarzyny. Odtąd przemysływałem tylko ciągle o wielkiej niespodziance, jaką sprawię matce Barberin. Nic jej nie powiedziałem o tem, że zasadziłem bulwy, a gdy wypuszczały kwicie, mówiłem jej, że to są kwiaty. Ale gdy wyrosną, to pozrywam pokryjomu moje bulwy, sam je ugotuję. W jaki sposób? Nie wiedziałem, ale wyobraźnia moja nie zaprzętała się takimi drobnostkami. Wyobrażałem sobie już naprzód, jak matka Barberin ucieszy się, gdy

przyszedłszy na wieczerzę, zastanie nową ugotowaną jarzynę. Przynajmniej raz inna potrawa, a nie wciąż tylko kartofle. Nawet braku „graniastej“ nie uczuje wtedy tak bardzo matka Barberin. I to ja będę wynalazcą tej nowej potrawy, ja, mały Remi.

Kłęcząc na ziemi, wsparty na obu dłoniach, schyłony nad memi bulwami, posłyszałem, że Barberin woła na mnie zniecierpliwionym głosem.

Spiesznie pobiegłem do domu.

Okropnem było moje zdziwienie, gdy wchodząc do izby, zastałem w niej Witalisa z jego psami.

Natychmiast zrozumiałem, dlaczego Barberin wysłał żonę z domu.

Czując, że ani litości, ani pomocy nie mogę oczekiwać od Barberina, podbiegłem do Witalisa.

— O! panie, — zawołałem, — nie zabieraj mnie od mojej mamy.

Wybuchnąłem gwałtownem łkaniem.

— Mój chłopcze, — rzekł Witalis do mnie łagodnie, — nie będzie ci źle u mnie; ja dzieci nie biję i wesoło będzie ci w towarzystwie moich uczniów, którzy są bardzo zabawni. Czegoż tu żałujesz?

— Matki Barberin!

— W żadnym razie tu nie pozostaniesz, — rzekł Barberin, chwytając mnie mocno za ucho; — albo pójdziesz z tym panem, lub do domu podrzutków. Wybieraj!

— Chcę zostać przy matce Barberin.

— Nudzisz mnie, — zawołał Barberin, który wpadł w wielką wściekłość, — wygnam cię stąd kijami. Precz!

— To dziecko żałuje matki Barberin, — rzekł Witalis, — nie trzeba go bić za to, to dowodzi, że ma on dobre serce. A teraz załatwmy naszą sprawę. Mówiąc to, Witalis położył na stole osiem sztuk pięciofrankowych, które Barberin zgarnął i włożył do kieszeni.

— A gdzie rzeczy chłopca? — zapytał Witalis.

— Otóż są, — odparł Barberin, wskazując modrą chustę związaną na czterech rogach.

Witalis rozwiązał chustę, w której znajdowały się dwie moje koszulki i para płóciennych spodzianek.

— Dalej, Remi, — rzekł Witalis, — weź węzełek z twemi rzeczami i idź naprzód, przed Kapim.

Wyciągnąłem ku niemu błagalnie dłonie, a potem do Barberina, ale obaj odwrócili się do mnie plecami. Poczułem, że Witalis chwyta mnie za rękę.

Trzeba było iść.

Ach! drogi domku! Zdawało mi się, przestępując próg jego, że pozostawiam w nim kawałek mego własnego serca.

Rozglądałem się naokół, lecz moje oczy, zaćmione łzami, nie dostrzegły nikogo, kto mógłby mi przyjść z pomocą. Nikogo nie było przy domu, nikogo na drodze.

Począłem wołać: Mamo, mamusiu!

Nikt mi nie odpowiedział i wołanie me ucichło, stłumione łkaniem.

Witalis wiodł mnie za rękę.

— Szczęśliwej podróży, — zawołał Barberin, wchodząc do domu. — Niestety, nie było już ratunku.

— Dalej, Remi, chodź, dziecko, — mówił Witalis i ujął mnie za ramię.

Począłem iść obok niego. Szczęściem nie szedł on prędko, lecz stosował umyślnie swe kroki do moich.

Droga, którą szliśmy, wznosiła się pod górę. Na każdym zakręcie spostrzegałem domek matki Barberin, który coraz więcej malał i malał. Tyle razy przebiegałem tę drogę i wiedziałem, że na ostatnim zakręcie raz jeszcze ujrzę domek, w którym dotąd szczęśliwie żyłem, a potem zniknie on mi już z przed oczu. Przybyliśmy wreszcie na wierzchołek góry.

— Pozwól mi pan odpocząć cokolwiek, — rzekłem.

— Chętnie, mój chłopcze.

Po raz pierwszy puścił mą rękę, lecz w tej samej chwili spojrzał na Kapięgo i dał mu znak, który tenże zrozumiał.

Jak pies pasterski, strzegący stada, opuścił Kapi czoło pochodu i stanął za mną.

Zrozumiałem, że Kapi miał być moim stróżem i, że, gdybym próbował uciekać, rzuciłby się na mnie.

Usiadłem na murawie, a Kapi tuż obok mnie.

Raz jeszcze spojrzałem na dół, szukając oczyma, zalanemi łzami, domu matki Barberin.

Łatwo dojrzałem go wśród zieleni drzew. Wąska smuga dymu dobywała się z komina i wznosiła się w górę, płynąc aż ku nam.

Na podwórku ostatnia kura, jaką mieliśmy, biegła tu i tam, lecz zdala wydawała mi się mniejszą, niż gołąbek. — W ogródku dojrzałem gruszę o krzywo wygiętym pniu, który od tak dawna usiłowałem przerobić na konia.

Wszystko było na swem miejscu — i moje taczki i pług, zrobiony z pociętych gałęzi i budka, w której hodowałem króliki i mój ogródek, mój drogi ogródek.

Któż będzie przyglądał się moim biednym, kwitnącym kwiatkom? Któż przyrządzi moje bułwy? Może niegodziwy Barberin.

Jeszcze parę kroków, a to wszystko zniknie mi na zawsze z przed oczu.

Nagle na drodze, prowadzącej ze wsi do domu, spostrzegłem zdala biały czepiec. Na chwilę zakryły go drzewa przed mym wzrokiem, potem znów się ukazał, jak motyl wiosenny, na tle zieleni.

Są chwile w życiu, w których sercem widzi się lepiej zdala, niż najbystrzejszymi oczyma. — Poznałem matkę Barberin; to była ona, czułem to. To był jej czepiec, jej niebieska spódnica.

Szła wielkimi krokami; śnać spiesząc się bardzo do domu.

Przybywszy przed wrotka, otwarła je i przeszła prędko podwórko.

Podniosłem się z murawy, nie myśląc o Kapim, który skakał naokół mnie.

Matka Barberin nie pozostała długo w domu, z którego wybiegła z wyciągniętymi przed siebie ramionami. Biegała tu i tam po podwórku. Szukała mnie.

Pochyliłem się naprzód, wołając z całych sił: Mamo, mamo!

Ale głos mój nie mógł dojść do niej, ani przegłuszyć szmeru płynącego strumyka.

— Co ci się stało? — zapytał Witalis. — Czyś postradał rozum?

Nie odpowiedziałem mu, wpatrzony w matkę Barberin, która nie przeczuwała, że jestem tak niedaleko od niej i ócz swych ku mnie nie wzniosła ni razu.

Przeszedłszy podwórko, weszła na drogę, rozglądając się na wszystkie strony.

Krzyczałem coraz mocniej, ale napróżno. Wtedy Witalis podejrzewając prawdę, stanął przy mnie i pochylił się w dół. Wnet spostrzegł biały czepiec matki Barberin.

— Biedny malcze, — rzekł półgłosem.

— O, błagam pana, — zawołałem, zachęcony jego słowami współczucia, — pozwól mi pan wrócić.

Lecz on ujął mnie za rękę i wiódł mnie dalej drogą.

— Wypocząłeś już, — rzekł, — więc maszeruj naprzód, mój chłopcze.

Usiłowałem wyrwać mu się, ale trzymał mnie silnie.

— Kapi, — zawołał, — Zerbino!

Oba psy stanęły przy mnie; Kapi za mną Zerbino przedemną.

Po pewnym czasie odwróciłem głowę.

Zeszliśmy już ze szczytu góry. Nie mogłem dojrzeć już ani naszej doliny, ani naszego domu. Zdała tylko widniały wioskowe pagórki, sterczące ku niebu. Dal

sina, nieznana, nieskończona rozciągała się przed memi oczyma, z których łzy ciągle spływały.

V.

W drodze.

Witalis, chociaż kupił mnie za czterdzieści franków, nie był żadnym ludożercą, ani też złym człowiekiem. Niebawem przekonałem się o tem. Szliśmy mniej więcej kwadrans, gdy naraz puścił me ramię. Zstępowaliśmy właśnie z góry.

— Teraz, — rzekł, — idź powoli obok mnie; lecz nie zapominaj o tem, że gdybyś próbował uciekać, to Kapi i Zerbino zaraz by cię dogoniły, a te pieski mają zęby bardzo ostre.

Uciekać! — Czułem, że było to niemożliwem.

Westchnąłem.

— Pojmuję twój żal, — mówił dalej Witalis, — jeśli chcesz, to możesz płakać tyle, ile ci się podoba. Nie będę się o to gniewał na ciebie, tylko wiedz, że nie chcę twej krzywdy. Cóżby się bowiem z tobą stało, gdybym cię nie wziął ze sobą? Oddanoby cię prawdopodobnie do domu podrzutków. Ludzie, którzy cię wychowywali, nie są twymi rodzicami. Matka twoja przybrana, jak powiadasz, była dobrą dla ciebie; kochasz ją i rozpaczasz, że ją musisz opuścić. To prawda, lecz zastanów się, że przeciw woli swego męża nie byłaby ona mogła zatrzymać cię w domu.

Bezwarunkowo były to słowa rozumne, ale krzyk serca, ból rozłąki zagłuszał te słowa.

Nie ujrzę już nigdy tej, która mnie wychowała, która mnie pieściła i którą kochałem, — mojej matki.

Na tę myśl tchu mi zabrakło w piersiach.

Szedłem jednak obok Witalisa, powtarzając sobie w myślach to, co on mi powiedział.

Ten wysoki starzec o siwej brodzie nie był tak srogim, jakim mi się z początku wydawał i nie będzie dla mnie bez miłosierdzia.

Długo szliśmy w bezbrzeżnej pustce. — Po raz pierwszy w życiu odbyłem bez przerwy tak daleką drogę.

Mistrz mój szedł spiesźnie, krokiem równym, miarowym, niosąc Żolisia to na ramieniu, to w torbie, a psy biegły naokół niego. Od czasu do czasu Witalis rzucił im jakie przyjazne słowo po francusku, lub też w jakimś innym, nieznanym mi języku.

Ani Witalis, ani psy nie okazywały żadnego znużenia. Ale ja ledwie już powłóczyłem nogami. Znużenie fizyczne połączone z moralnem przygnębieniem, wyczerpało zupełnie me siły. Nie śmiałem jednak prosić mistrza, aby się zatrzymał.

— To twoje drewniaki tak ci chodzenie utrudniają, — rzekł Witalis do mnie, — w mieście kupię ci buciki.

Te słowa dodały mi odwagi.

Oddawna najgorętszem mojem życzeniem było posiadać buciki. Syn burmistrza i syn oberżysty mieli buciki, w których stąpali lekko po flisach, gdy w niedzielę do kościoła na mszę przyszli, podczas gdy chłopci w swoich drewniakach kroczyli ciężko i hałaśliwie.

— Czy daleko jeszcze do miasta? — zapytałem.

— To pytanie płynie ci z głębi serca, — rzekł Witalis, śmiejąc się. Więc tak chętnie chciałbyś mieć buciki, chłopcze? Obiecuję ci, że dostaniesz takowe i to podbijane gwoździami. Prócz tego kupię ci jeszcze ubranko aksamitne i kapelusz. To chyba osuszy twoje łzy i doda ci sił do odbycia dalszej drogi.

Buciki podbijane gwoździami! Byłem olśniony i zapomniałem o mojem zmartwieniu.

Buciki, ubranko aksamitne, kapelusz!

O gdyby mnie tak ubranego matka Barberin widziała, jakżeż by się ucieszyła, jak dumną byłaby ze mnie!

Tymczasem na pogodne dotychczas niebo poczęły zwołna wypływać ciemne chmury. Wkrótce zaczął padać deszcz drobny, ale nieustanny.

Jak tylko pierwsze krople deszczu spadły, Żoliś schował się do torby. Witalis miał na sobie płaszcz skórzany, który go przed przemoczeniem chronił, ale ja i psy byliśmy całkiem zmoczeni.

— Czy łatwo dostajesz kataru? — zapytał mnie Witalis.

— Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek miał katar.

— To dobrze, — odparł, — lecz nie chcę narażać cię niepotrzebnie na zaziębienie. Nie pójdziemy już dziś dalej. Otóż wioska przed nami, wstąpimy do niej.

Ale w wiosce nie było oberży, a nikt nie chciał przyjąć do domu jakiegoś nieznanego wędrowca, podróżującego z dzieckiem i z trzema psami.

— Ten dom to nie żaden zajazd, — odpowiadano nam, zamykając drzwi przed nosem. — Tak chodziliśmy od domu do domu, odprawiani z niczem.

Wreszcie jakiś wieśniak, litościwszy od innych, otworzył nam drzwi swej stodółki, lecz pod warunkiem, że nie zapalimy światła.

— Oddajcie mi wpierrw wasze zapalki, — rzekł do Witalisa; — jutro rano wam je oddam.

Mieliśmy przynajmniej dach nad głową i deszcz nas już nie moczył.

Witalis, jako człowiek przezorny, nie udawał się w drogę bez zapasów żywności. W żołnierskim worku, jaki nosił na p'ecach, miał z sobą wielki bochen chleba, który podzielił na sześć części, — dla mnie, dla siebie, dla Żolisia i dla każdego z psaków.

W czasie ostatnich miesięcy, jakie przeżyłem u matki Barberin, doprawdy nie opływałem we wszystko, a jednak zmiana losu wydała mi się okrutną.

Upadający ze znużenia, z nogami poobcieranymi przez drewniaki aż do krwi, drżałem z zimna w mych przemoczonych rzeczach.

Noc ciemna nagle zapadła, lecz nie mogłem usnąć.

— Szczękasz zębami, — rzekł Witalis, — pewnie ci zimno.

— Cokolwiek, — odparłem.

Posłyszałem, że otwiera torbę.

— Zdejm przemoczone rzeczy, — rzekł, — tu masz suchą koszulę i kaftan. Przebierz się i zaszyj się w siano, a wnet rozgrzejesz się i uśniesz.

Uczyniłem, jak rozkazał, lecz nie rozgrzałem się zaraz i długo przewracałem się z boku na bok. Czułem się zbolalym i nieszczęśliwym.

— Czy to ze mną codzień tak będzie? — myślałem smutno, a łzy mi do ocz napływały. Wtem poczułem ciepły oddech na mej twarzy.

Wyciągnąłem rękę i namacałem włochatą szerść Kąpiego.

Przyczołgał się do mnie i począł lizać me ręce.

Wzruszony tą pieśczołą, podniosłem się i pocałowałem go w pyszczek.

Zamruczał i wsunął swoją łapkę w moją dłoń i tak już pozostał.

Zapomniałem o zmęczeniu i smutku. Serce przestało mi się ścisnąć boleśnie. Odetchnąłem. Nie byłem już sam; miałem przyjaciela.

VI.

Moje występy.

Nazajutrz wcześniej wyruszyliśmy w drogę. Deszcz już nie padał. Niebo się wypogodziło, a błoto osuszył wiatr, który wiał w nocy. Ptaszeta nuciły radośnie w krzewach, a psy biegły, poszczekując.

Dotychczas nigdy jeszcze nie opuszczałem naszej wioski, więc byłem ciekaw, jak wygląda miasto. Muszę przyznać, że nie olśniło mnie zbyt.

Jedno tylko myśli me zajmowało i oczy moje jednego tylko upatrywały: — składu obuwia.

Buciki, moje buciki, obiecane mi przez Witalisa.

Nadeszła godzina, w której je miałem otrzymać.

Gdzież był ten upragniony skład, który miał mi takowych dostarczyć?

Tego składu wszędzie upatrywałem. — Wzrok mój nie spoczął nawet na wieżach, gotyckich budowlach i kolumnach miasta.

W pamięci mojej pozostało tylko wspomnienie ciemnego i zadymionego składu, położonego przy halach targowych. W oknie wystawnem tego składu znajdowały się stare fuzje, ubrania z galonami i srebrnemi epoletami, stare żelazo, zwłaszcza kłódki i zardzewiałe gwoździe.

— Jakto, — pomyślałem, — czyżby w tem strasznem miejscu miały się znajdować przyobiecane mi przez Witalisa buciki?

Ale Witalis wiedział, co czyni i wkrótce spełniły się moje marzenia. Obułem buciki, podkute gwoździami, które dziesięć razy cięższe były od moich drewniaków.

Ale wspaniałomyślność mego mistrza była niewyczerpaną.

Prócz bucików kupił mi niebieską kamizelkę i kaftan aksamitny, wełniane spodzienki i kapelusz pilśniowy.

Miałem więc nosić rzeczy aksamitne, ja, który dotąd tylko zgrzebne płótno nosiłem! Prócz tego miałem buciki, oraz kapelusz, ja, który dotąd w drewniakach chodziłem, a na głowie tylko własną czuprynę posiadałem! Stanowczo mistrz mój był najlepszym, najwspaniałomyślniejszym i najbogatszym człowiekiem na świecie.

Spieszno mi było z przywdzianiem tych rzeczy na siebie, lecz Witalis zmienił je do niepoznania ku memu wielkiemu, a przykreemu zdziwieniu.

Wchodząc do oberży, wyjął nożyce ze swego worka i uciął po kolana obie nogawki u moich spodzieniek.

Patrzałem na niego wytrzeszczonemi ze zdziwienia oczyma.

— Czynię to w tym celu, abyś wyglądał inaczej jak inni. Jesteśmy we Francji, ubieram cię po włosku. Jeżeli udamy się do Włoch, co jest możliwem, to ubiorę cię po francusku.

Mówiąc to, przewiązał Witalis na krzyż czerwone sznurowadła na pończochach wzdłuż moich nóg aż do kolan. Mój kapelusz przybrał też innemi wstążkami i przypiął do niego bukiet sztucznych kwiatów.

Nie wiem, o ile podobałbym się innym w tem ubraniu. Co do mnie, to wyznam szczerze, że uważałem, iż wyglądam wspaniale. To samo musiał myśleć mój przyjaciel Kapi, bo długo mi się bacznie przyglądał, a potem podał mi swą łapkę z miną zadowoloną.

— Teraz, kiedy twoja tualeta skończona, — rzekł Witalis, — trzeba się nam zabrać do roboty. Jutro w dniu targowym musimy dać wielkie przedstawienie, w którym ty będziesz debjutował.

Zapytałem, co to znaczy debjutować. — Witalis objaśnił mnie, że to znaczy wystąpić po raz pierwszy przed publicznością, odgrywając jaką rolę w sztuce.

— Jutro dajemy tu nasze pierwsze przedstawienie — mówił Witalis — i ty w niem będziesz brał udział. Musisz zatem odegrać na próbę rolę, jaką ci wyznaczam.

Patrzałem na niego ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Nie wziąłem cię na to ze sobą, — mówił Witalis, — abyś miał przyjemność spacerowania ze mną, lecz na to, abyś pracował, a praca twoja polegać będzie na odgrywaniu komedyjki wraz z memi psami i z Żolisiem.

— Ale ja nie umiem grać komedyjki, — zawołałem z przestachem.

— Dlatego właśnie musisz się tego nauczyć. — Nie myśl, że Kapi chodził odrazu tak zgrabnie na dwóch tylnych łapkach, a Psinka, nie dla swej przyjemności tańczy na linie. — Sztuka, którą będziemy przedstawiali, nosi tytuł: „Służący pana Żolisia“; a treść jej następująca: Pan Żoliś miał do tego czasu służącego, z któ-

rego był bardzo kontent, to jest pieska Kapi. Ale Kapi już się zestarzał i pan Żoliś chce innego służącego. Kapi obiecuje przyprowadzić mu innego na swoje miejsce, ale już nie psa, tylko chłopca imieniem Remi.

— Jakto mnie?

— Tak, ty masz przybyć ze wsi, by wstąpić w służbę do Żolisia.

— Małpki nie mają służących.

— W komedijkach mają. — Ty przybywasz i pan Żoliś uważa, że wyglądasz na bardzo głupiego.

— To nie jest wcale zabawne.

— A jednak to pobudzi widzów do śmiechu. Wyobraź sobie zresztą, że rzeczywiście przybywasz na służbę do pana, który każe ci nakryć do stołu. Otóż właśnie stoi tu stolik, którego użyjemy do naszego przedstawienia. Wsuń go i nakryj.

Na stole stały talerze, szklanka, nóż, widelce i bielizna stołowa.

Co miałem z tem uczynić?

Zadając sobie to pytanie, stałem z wyciągniętymi ramionami, pochylony naprzód, z ustami otwartymi, nie wiedząc, jak się wziąć do tego.

— Brawo, — zawołał Witalis, śmiejąc się do rozpuku i klaszcząc w ręce. Doskonale! Chłopiec, którego przed tobą miałem, robił minę sprytną, jakby chciał powiedzieć: Zobaczycie, jak dobrze wszystko zrobię. Twa naiwność jest właśnie podziwienia godną.

— Kiedy ja nie wiem, co mam robić.

— Właśnie dlatego grasz doskonale. Jutro, lub za dni kilka będziesz dokładnie wiedział, co masz czynić i wtedy, gdy się już dobrze wćwiczysz, trzeba ci będzie może nieraz przypominać, byś udawał to zmieszanie i ambaras, jakiego teraz doświadczasz. Jeżeli zawsze twoje miny i twoja postawa będą tak świetne, to przepowiadam ci największe powodzenie.

Komedyjka nie była długa. Przedstawienie trwało tylko dwadzieścia minut; lecz ćwiczyliśmy tę komedyi-

kę przez trzy godziny. Witalis kazał nam — to jest pieskom i mnie jedno i to samo powtarzać po dwa i po cztery razy. — Pieski zapominały niejedno ze swoich ról i trzeba je było uczyć nanowo, przyczem podziwiałem cierpliwość i łagodność naszego mistrza. Inaczej obchodzono się u nas na wsi z psami, wyzwiska i uderzenia były jedynymi sposobami, jakich wobec nich używano.

— A więc, — zapytał mnie mistrz po zakończeniu próby, — czyż sądziś, że przyzwyczaisz się do odgrywania komedji?

— Nie wiem.

— Czyż cię to nudzi?

— Nie, to mnie bawi.

— W takim razie wszystko pójdzie dobrze; pojmiesz łatwo, a przytem jesteś uważny, a uwagą i wytrwałością wszystko osiągnąć można.

Moi towarzysze, pieski i małpka przyzwyczajeni już byli do występowania przed publicznością, ale ja byłem pełen niepokoju, co powie Witalis, jeżeli źle moją rolę odegram? I co powiedzą widzowie?

Bardzo byłem wzruszony gdy nazajutrz opuściliśmy oberżę i udaliśmy się na plac, na którym miało się odbyć nasze przedstawienie.

Witalis szedł naprzód, wygrywając walca na piszczałce metalowej.

Za nim kroczył Kapi, a na jego grzbiecie rozpierał się pan Żoliś w czerwonym mundurze generała angielskiego ze złotymi galonami, z kapeluszem podwiniętym, zdobnym w wielki pióropusz.

Dalej w pewnem oddaleniu szedł Zerbino i Psinka, a na końcu ja sam kroczyłem.

Nietylko nasz pochód, ale przedewszystkiem donośne tony piszczałki, które przenikały do wnętrza domów, budziły ciekawość mieszkańców miasta. — Wybiegano przed drzwi, aby się nam przyjrzeć, i uchylano spiesźnie firanki we wszystkich oknach.

Gromadka dzieci poczęła biec za nami, potem kilku wieśniaków, a gdy przybyliśmy na plac, byliśmy naokół otoczeni tłumem.

Nasza scena została prędko urządzoną; przywiązaliśmy sznur do czterech drzew, tworząc w ten sposób długi czworobok, pośrodku którego zajęliśmy miejsce.

Pierwsza część przedstawienia składała się z różnych sztuczek, wykonywanych przez pieski; lecz na czem te sztuczki polegały, tego nie wiem, bo zajęty byłem powtarzaniem mej roli i pełen niepokoju.

Przypominam tylko sobie, że Witalis zastąpił piszczałkę skrzypcami, na których przygrywał pieskom do tańca, to znów dobywał z nich tony dźwięczne, a tkliwe.

Po ukończeniu pierwszej sztuki, Kapi wziął w pyszczek skarbonkę i obchodził z nią na dwóch łapkach szanowną publiczność.

W tym czasie Witalis nie mówiąc słowa, ale nie spuszczać z oczu skarbonki, wygrywał wesołe melodie na swych skrzypcach, to wznosząc, to spuszczać je podług taktu.

Wkrótce Kapi powrócił do swego metra, przynosząc mu z dumą pełną skarbonkę.

Teraz przyszła kolej na mnie i na Żolisia.

— Panowie i panie, — rzekł Witalis, gestykulując jedną ręką smyczkiem, a drugą skrzypcami, — teraz idzie dalszy ciąg naszego przedstawienia, odegramy zachwycającą komedyjkę pod tytułem: „Służący pana Żolisia“.

Ta komedyjka była pantomina, czyli sztuką nie słowami, lecz gestami i minami wyrażoną. Lecz Witalis objaśniał słowami pojedyncze sceny.

Grając zcicha melodię wojenną, zapowiedział najpierw wejście pana Żolisia, generała angielskiego, który swój wysoki stopień wojskowy i swój majątek zdobył w walkach z Indjanami. Do tego czasu pan Żoliś miał za służącego pieska Kapi, ale chce teraz wziąć sobie człowieka do posługi, gdyż środki jego pozwalają mu

na ten zbytek. Dość już długo służyły zwierzęta niewolniczo ludziom, teraz się miało to zmienić na odwrót.

Czekając na przybycie tego służącego, generał Żoliś przechadzał się wzdłuż i wszerz placu, paląc cygaro. — Było na co patrzeć, jak dym ze swego cygara puszczał pod sam nos publiczności. Generał poczynął się niecierpliwić, przewracał gniewnie oczyma, przygryzał wargi i tupał nogą o ziemię.

Przy trzeciem tupnięciu miałem wejść na scenę, wprowadzony przez pieska Kapi. — Choćbym sam o tem był zapomniiał, piesek przywiódłby mi to na pamięć. W danej chwili podał mi swą łapkę i zawiódł mnie przed generała, który spostrzegłszy mnie, wzdrygnął rozpaczliwie ramionami. Ech, to więc miał być ów służący? Potem podszedł mi prosto pod nos, oglądając mnie na wszystkie strony — i wzdrygając ramionami.

Mina jego przytem była tak zabawną, że wszystko śmiało się naokół. — Dorozumiano się, że generał uważa mnie za skończonego głupca i to zdanie podzieliłi widzowie.

Długo i bacznie przyglądał mi się generał, poczem zdjęty litością, kazał mi podać śniadanie.

— Generał myśli, że ten chłopiec po najedzeniu się będzie mniej głupim, — objaśnił Witalis, — zaraz przekonamy się o tem.

Zasiadłem przed małym stolikiem, na którym stał talerz, a na nim leżała serweta.

Cóż zrobić z tą serwetą?

Kapi pokazywał mi, jak mam ją sobie założyć.

Po namyśle wytarłem nią sobie nos.

Generał kulał się od śmiechu, a Kapi aż się przewrócił na grzbiet z wzniesionemi w górę łapkami ze zdumienia nad moją głupotą.

Widząc z tego, że się omyliłem, począłem znów przyglądać się serwecie, namyślając się, co mam właściwie z nią zrobić. Wreszcie zwinąłem ją i zawiązałem ją sobie pod szyją jako krawatę.

Generał śmiał się jeszcze bardziej, a Kapi znowu aż przewrócił się ze zdumienia.

I tak szło dalej aż do chwili, w której zniecierpliwiony generał zrzucił mnie z krzesła, sam na niem zasiadł i zjadł śniadanie, które było dla mnie przeznaczone.

Ach, on wiedział, w jaki sposób używać serwety. Z gracją przeciągnął ją przez dziurkę od guzika przy swoim mundurze i potem rozłożył ją na swoich kolanach. Z elegancją łamał chleb i wypróżniał swą szkłankę! Ale największe wrażenie wywołało to, gdy po śniadaniu zażądał generał wykłuwacza do zębów i z szykiem takowym się posługiwał. Ze wszech stron rozległy się oklaski. Tryumf nasz był zupełny.

Podziwiano, jak małpka była inteligentna, jak głupim był służący.

Wracając do oberży, Witalis wyraził mi swe uznanie i byłem już na tyle komedjantem, że czułem się dumnym z jego pochwały.

VII.

Nauka czytania.

Komedjanci trupy synjora Witalisa, t. j. pieski i małpka, mieli niezaprzeczenie talent, ale talent ich nie był wielostronny.

Po trzech, czterech przedstawieniach repertuar ¹⁾ ich był już wyczerpany; mogli go byli tylko powtarzać.

Stąd wynikała konieczność ustawicznej zmiany miejsca. — Po trzech dniach zatem wyruszyliśmy w drogę.

— Dokąd idziemy? — zapytałem mistrza, wobec którego już się ośmieliłem.

— Czy ty znasz krajowe miejscowości?

— Nie, — odrzekłem.

— Czemu się zatem pytasz, dokąd idziemy? Choć

¹⁾ Repertuar oznacza zasób sztuk, jakie odnośna trupa umie odgrywać.

bym ci powiedział, że pójdziemy do Bordo ¹⁾, a stamtąd w góry Pirenejskie, to i tak byś nie wiedział, co to znaczy. Zresztą ja sam nie byłem jeszcze w stronach, dokąd zdążamy.

— A jednak pan wie, dokąd mamy iść.

Przyglądał mi się długo, jakby czegoś we mnie upatrywał.

— Ty pewnie nie umiesz czytać? — zapytał.

— Nie, ale widziałem, jak inni czytali, — odparłem tonem osoby przekonanej, że ma z czego być dumną.

Wychowany byłem jak prawdziwy dzikus, który nie ma pojęcia o życiu cywilizowanym. Coprawda poyślano mnie do szkoły, ale tylko przez miesiąc, w czasie którego nie miałem nawet książki w ręku.

Wówczas we Francji było bardzo wiele gmin, które wcale szkół nie miały, a tam, gdzie szkoły były, tam kierowali niemi nauczyciele, którzy albo sami nic nie umieli, albo też zajmowali się czem innem, dość, że nie uczyli wcale dzieci, jakie im powierzano. Nie nauczyłem się zatem niczego w szkole, nawet nie znałem liter.

— Czy to trudno czytać? — zapytałem po chwili Witalisa.

— To jest trudnem dla tych, którzy mają tępe głowy, lub złą wolę. A ty, czy trudno pojmujesz?

— Nie wiem, ale uczyłbym się chętnie czytać.

Dobry staruszek zapoznał mnie ze sztuką czytania, a gdy umiałem już w książce czytać, zapytał mnie:

— Czy chciałbyś umieć czytać także nuty?

— A czy znając nuty, potrafiłbym tak śpiewać, jak pan?

— Czy chętnie słuchasz, jak ja śpiewam?

— To dla mnie największa przyjemność. Jak pan śpiewa, to poszedłbym za panem w ogień. Mam wtedy ochotę płakać, lub też śmiać się i może pan się wyśmiej z tego, gdy panu powiem, że gdy pan śpiewa piosnkę rzewną i tęskną, to zdaje mi się wtedy, że je-

¹⁾ Pisze się właściwie „Bordeaux“.

stem przy matce Barberin, że widzę nasz domek, a przecież nie rozumiem wcale słów włoskich piosenek, jakie pan śpiewa.

Spojrzałem na niego, — łzy błyszczały mu w oczach. Przystanąłem tedy i zapytałem:

— Czy sprawilem panu przykrość memi słowami?

— Nie, moje dziecko, — rzekł mi głosem wzruszonym, — przeciwnie, przypomniałeś mi moją młodość, moją przeszłość szczęśliwą. Bądź pewnym, że nauczę cię śpiewać, a ponieważ masz w sobie dużo uczucia, będziesz także poruszał do łez słuchaczy twym śpiewem, będziesz oklaskiwanym, zobaczysz...

Naraz urwał i zrozumiałem, że nie chciał mówić już więcej o tym przedmiocie.

Zaraz dnia następnego zaczął mnie Witalis uczyć czytania i pisania nut. — Pewnego dnia odśpiewałem ku memu wielkiemu zadowoleniu piosnkę, napisaną przez Witalisa na kartce papieru.

Tego dnia Witalis poklepał mnie po przyjacielsku po policzkach, oświadczając, że, jeżeli tak dalej pójdzie, to napewno zostanę wielkim śpiewakiem.

Naturalnie, to wszystko nie mogło być dziełem jednego dnia. Nauka nie mogła mi być regularnie udzielaną tak, jak dziecku, które w szkole przechodzi klasy jedną po drugiej; tylko tedy owedy w wolnych chwilach mógł mi mistrz dawać lekcje.

Codziennie trzeba było przebyć większy lub mniejszy kawał drogi, zależało to od odległości dzielącej jedną miejscowość od drugiej. Trzeba było dawać przedstawienia wszędzie, gdzie mieliśmy widoki zysku; powtarzać role z pieskami i z Żolisem; wreszcie przyrządzać sobie samym śniadania i obiady. Dopiero po tych wszystkich czynnościach można się było zająć czytaniem albo muzyką; najczęściej bywało to na postoju pod cieniem drzewa, lub na stosie kamieni, a za stół służyła mi murawa, lub droga.

W tym czasie przyzwyczaiłem się też do długich, nużących marszów. Poprzednio przy matce Barberin byłem dzieckiem wątlę, lecz teraz to życie na wolnem powietrzu wzmacniało mnie. Miałem silniejsze nogi i ramiona, rozwinęły się moje płuca, skóra się zahartowała i równie wytrzymały byłem na zimno i niepogodę, jak i na upały, na brak pożywienia i na trudy.

VIII.

Przez góry i doliny.

Tak przeszliśmy część środkowej i południowej Francji. — Nasz sposób podróżowania był bardzo prosty; szliśmy prosto przed siebie, na chybił trafił, a gdy spostrzegliśmy jaką wioskę, która nie wydawała nam się zbyt nędzną, przyspasabialiśmy się do tryumfalnego wejścia. — Zajmowałem się tualetą piesków, czesząc Psinkę, ubierając Zerbina, zakładając plaster na oko Kąpiego, aby mógł odgrywać rolę starego mruka, wreszcie zmuszałem Żolisia do przywdziania munduru generalskiego. To było najtrudniejszym zadaniem, gdyż małpka, która wiedziała, że ta tualeta była wstępem do pracy, jaką na nią czekała, broniła się, jak mogła i czyniła najpocieszniesze skoki, aby mi przeszkodzić w ubieraniu jej.

Wtedy przyzywałem Kąpiego na pomoc i przez jego czujność, jego instynkt i spryt udawało mi się prawie zawsze pokonać złośliwe wymysły małpki.

Gdy trupa była już w szyku, Witalis brał swoją piszczałkę i tak wkraczaliśmy do wsi.

Gdy liczba ciekawych, którzy nas okolili, była dostateczną, dawaliśmy przedstawienie. Jeżeli przeciwnie za mało było widzów, wtedy szliśmy dalej.

Po miastach zatrzymywaliśmy się na dłużej. — Zrana wolno mi było spacerować, gdzie tylko chciałem. Brałem wtedy Kąpiego ze sobą, — Kąpiego, zwykłego

pieska, bez jego kostjumu teatralnego i tedy włóczyliśmy się po ulicach.

Witalis, który zazwyczaj nie pozwalał mi się od siebie oddalać, w tych razach nie miał nic przeciw temu, abym używał swobody, mówiąc:

— Los zrządził, że w wieku, w którym dzieci chodzą zazwyczaj do szkoły, ty masz sposobność przebiegania wzdłuż i wszerz Francji, a więc przyglądaj się i ucz. Jeżeli zobaczysz coś, czego nie pojmiesz, lub o czem chciałbyś zasięgnąć bliższych wiadomości, to pytaj mnie bez obawy. Nie zawsze byłem dyrektorem trupy tresowanych zwierząt i uczyłem się kiedyś wielu rzeczy.

— A czego?

— O tem pomówimy później; lecz wiedz, że zajmowałem dawniej inne, niż obecnie, stanowisko w świecie.

Przybyliśmy wreszcie do pewnej wioski, położonej w nieurodzajnej dolinie, w której właśnie susza wszelkie plony zniszczyła. Wioska ta zwała się Bastide-Murat. Przepędziliśmy tam noc w stodółce należącej do oberży.

— To tutaj, — rzekł Witalis, rozmawiając ze mną wieczorem przed udaniem się na spoczynek, — tu, w tym kraju i prawdopodobnie w tej oberży urodził się człowiek, za którego sprawą zginęły tysiące żołnierzy i który rozpoczął swe życie jako chłopak stajenny, a został księciem i królem. Nazywał się on Muratem. Uczyniono z niego bohatera i nazwano tę wioskę jego imieniem. Znałem go i rozmawiałem z nim często.

Mimowoli wyrwało mi się pytanie:

— Czyś pan go wtedy znał, gdy był chłopcem stajennym?

— Nie, — odpowiedział Witalis, śmiejąc się, — lecz znałem go wtedy, gdy był królem. Po raz pierwszy jestem tu w jego rodzinnej wiosce, a jego samego poznałem w Neapolu, otoczonego królewskim dworem.

— Pan znałeś króla?!

Ton, jakim wykrzyknąłem te słowa, musiał być bar-

dzo zabawnym, gdyż mistrz mój wybuchł nanowo śmiechem, który trwał długo.

Mój mistrz widział króla i rozmawiał z nim.

Kim zatem był on w dniach młodości?

I w jaki sposób został tym, kim był teraz na starość?

Były to sprawy, które doprawdy mogły zaprzętać żywo moją rozbudzoną, dziecięcą wyobraźnię, ciekawą cudownych przygód.

IX.

Przed obliczem sprawiedliwości.

Z miasta Pó¹⁾ pozostało mi miłe wspomnienie; — w tem mieście nigdy prawie wiatr nie wieje; a ponieważ w Pó zatrzymaliśmy się przez zimę, przepędzając dnie całe na ulicach, placach publicznych i promenadach, każdy łatwo pojmie, jak miłe odczułem tę klimatyczną zaletę miasta. — Nie z tego jednak powodu pozostaliśmy tak długo w jednej miejscowości, wbrew naszemu zwyczajowi, lecz dla znacznych dochodów, jakie tam mieliśmy.

Podczas całej zimy publiczność, składająca się przeważnie z dzieci, darzyła nas uznaniem i nie sprzykrzył się jej bynajmniej nasz repertuar. — Były to w znacznej części dzieci angielskie: duże chłopaki z różowymi policzkami i ładne, małe dziewczeczki o wielkich łagodnych oczach prawie tak pięknych, jak oczy Psinki.

Ale gdy wiosna nadeszła i ciepłe dni nastały, publiczność coraz mniej licznie uczęszczała na nasze przedstawienia, po których przychodziły często dzieci, by uściskać łapkę Żolisia i Kapięgo na pożegnanie, gdyż już nazajutrz miały wyjechać.

Niebawem i nam trzeba było pomyśleć o opuszczeniu miasta.

Pewnego poranka ruszyliśmy w drogę i niezadługo znikły nam wieże miejskie z oczu.

Rozpoczęliśmy znów nasze życie wędrowne.

¹⁾ Piszę się właściwie Pau,

Dnie, tygodnie całe upływały, a my szliśmy wciąż prosto przed siebie, przechodząc doliny i wzgórza. Po prawej stronie na tle widnokregu widniały niebieskawe szczyty Pirenejów, jak olbrzymy do chmur sięgające.

Pewnego wieczoru przybyliśmy do wielkiego miasta, położonego nad brzegiem rzeki, przerzynającej żyzną dolinę. Domy, zbudowane z czerwonych cegieł, były po największej części brzydkie. Ulice były brukowane małemi, spiczastemi kamyczkami, które raniły stopy podróżnych, znużonych daleką, może dziesięciomilową wędrówką.

Mój mistrz objaśnił mnie, że jesteśmy w Tuluzie i że tu długo pozostaniemy.

Nazajutrz było naszym najpierwszem staraniem tak, jak zazwyczaj, wyszukanie miejsc odpowiednich do naszych przedstawień.

Miejsc takich znaleźliśmy moc, bo Tuluza obfituje w miejsca spacerowe, zwłaszcza w części miasta przylegającej do parku. Był tam piękny, ocieniony wielkimi drzewami trawnik, do którego wiodło kilka alei. W jednej z tych alei rozpostarliśmy się i już nasze pierwsze przedstawienia cieszyły się wielkim udziałem publiczności.

Na nieszczęście policjant, który miał pilnować porządku w tej alei, z niechęcią na nas spoglądał. Może nie lubił psów, może przeszkadzaliśmy mu w wykonywaniu jego służby, a może miał jaki inny do tego powód, dość, że starał się nakłonić nas do opuszczenia naszego miejsca.

W razach, w których mój mistrz nie chciał dać się unieść gniewowi, lub kiedy brała go chęć, by zakpić sobie z ludzi, co mu się często zdarzało, — wtedy miał zwyczaj wpadania w przesadę w swej grzeczności włoskiej. Słuchając wtedy jego sposobów wyrażania się, można było mniemać, że przemawia on do osób wysoko postawionych,

— Jaśnie oświecony przedstawicielu władzy, — rzekł, zdejmując nisko kapelusz przed policjantem, — zechciej mi łaskawie pokazać przepis, który wzbrania tak marnym, jak my, linoskokom, występów na miejscach publicznych.

Policjant odpowiedział, że Witalis nie ma z nim rozprawiać, lecz usłuchać go powinien.

— Bez wątpienia, — odpowiedział Witalis, — usłucham pana, skoro się tylko dowiem, na mocy jakiego rozporządzenia dajesz mi pan te rozkazy.

Policjant odwrócił się do nas plecami, a mistrz mój z kapeluszem w rękę, schylony w niskim ukłonie, śmiał się złośliwie zcicha.

Nazajutrz jednak policjant powrócił i przekraczając linię, która tworzyła obwód naszej sceny, przeszkodził nam w samym środku naszego przedstawienia.

— Wasze psy muszą mieć kagańce, — rzekł groźnie do Witalisa.

— Moim psom mam nałożyć kagańce?

— Jeżeli jutro wasze psy nie będą miały takowych, — zawołał policjant, wygrażając nam pięścią, to zapowiadam wam, że wytoczę wam skargę.

— Do jutra zatem, synjorze, — rzekł Witalis, — do jutra.

W czasie, gdy policjant oddalał się wielkimi krokami, Witalis pozostał schylony w kornym pokłonie, poczem odbył się dalszy ciąg przedstawienia.

Sądziłem, że mój mistrz kupi kagańce dla naszych psów, ale nie uczynił tego. — Wieczór upłynął, a on nie wspomniał nawet o swej sprzeczce z policjantem.

Wtedy odważyłem się sam mu o tem napomknąć.

— Jesteś wieśniakiem i jako taki tracisz zaraz głowę ze strachu przed policją i przed żandarmami. Lecz bądź spokojny, już tak się jutro urządzę, że policjant nie będzie mógł wytoczyć mi skargi, równocześnie zaś moi uczniowie nie będą się czuli zbyt nieszczęśliwymi, a publiczność zabawi się. Ten policjant przysporzy nam

dochodu, odgrywając rolę komiczną w sztuce, jaką dla niego przysposobiam. To urozmaici i rozweseli nasz repertuar. W tym celu udasz się jutro sam na nasz plac z Żolisiem; rozciągniesz linę, zagrasz kilka sztuczek na harfie; gdy zaś naokół ciebie zgromadzi się dość liczna publiczność, a policjant także przybędzie, to i ja wejdę z psami i wtedy rozpocznie się komedia.

Nazajutrz udałem się na nasz upatrzony plac i rozciągnąłem linę. Zaledwie zagrałem kilka taktów, już zbiegano się zewsząd i tłoczono naokół obwodu, który liną oznaczyłem.

Grałem już wcale nieźle na harfie; między innemi sztukami także pieśń neapolitańską, którą śpiewałem przy akompaniamencie harfy i która zjednywała mi zawsze huczne oklaski.

Ci, którzy wczoraj byli obecni przy zejściu z policjantem, przybyli także i przyprowadzili z sobą swych przyjaciół.

Ogół nie lubi policjantów i tak też było w Tuluzie. Ludzie ciekawi byli, jak stary Włoch wywikła się ze sprawy i odpali swego wroga.

Widząc mnie samego z Żolisiem, poczęto dopytywać się z niepokojem, czy „Włoch“, jak Witalisa nazywano, nie przybędzie?

Odpowiedziałem, że przyjdzie niebawem i śpiewałem dalej moją piosenkę.

Tymczasem nie mój mistrz, lecz policjant przybył wpierw na miejsce.

Żoliś pierwszy go spostrzegł i wzięwszy się pod boki, z głową w tył odrzuconą, począł przechadzać się wzdłuż i wszerz z miną sztywną, napuszczoną, ze śmieszoną powagą.

Publiczność parsknęła śmiechem i biła brawo.

Rozgniewany tem policjant, spoglądał na mnie z wściekłością.

To rozśmieszyło tłum jeszcze więcej.

Wyraz twarzy policjanta nie natchnął mnie otuchą; widać było, że gniew jego dochodzi do wściekłości.

Chodził wzdłuż i wszerz liny, a przechodząc koło mnie, rzucał mi z podełba spojrzenia, które nie wróżyły mi nic dobrego.

Żoliś, który nie pojmował grozy położenia, bawił się tem widocznie i w czasie, gdy policjant chodził poza liną, on tym samym krokiem stapał wewnątrz obwodu oznaczonego liną i przechodząc koło mnie, spoglądał na mnie tak samo, jak policjant, z miną tak zabawną, że publiczność zanosila się od śmiechu.

Nie chcąc doprowadzać do ostateczności policjanta, przywoływałem do siebie Żolisia, ale on na to nie zważał. To go bawiło, więc nie chciał mnie usłuchać i biegał dalej, wyrывая mi się, gdym chciał go przychwycić.

Nie wiem już, jak się to stało, ale policjant, którego złość zaślepiła, sądził, że ja małpkę podniecam i przekroczywszy linę, w dwóch susach był przy mnie. Upadłem na ziemię pod ciosem wymierzonego mi przezeń policzka.

Gdy wstałem z ziemi i otworzyłem oczy, ujrzałem Witalisa, który nie wiem, kiedy i jak przybył. Stał on między mną a policjantem, którego trzymał za łokieć.

— Zakazuję panu bić to dziecko, — rzekł, — to, coś pan uczynił, jest podłością.

Policjant usiłował wyrwać mu się, ale Witalis trzymał go mocno. Przez kilka sekund dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

Policjant szalał z gniewu.

Mój mistrz był wspaniały w swem szlachetnem oburzeniu, w wzniesioną w górę swą piękną, białemi włosami okoloną głową. Jego twarz miała wyraz oburzenia i stanowczej woli.

Wydawało mi się, że wobec jego postawy, policjant skryje się pod ziemię, lecz nie uczynił tego. Nagłym ruchem wyrwał się mistrzowi, pochwycił go za kołnierz i pchnął go brutalnie.

Witalis byłby prawie upadł, tak gwałtownem było pchnięcie; lecz zdołał utrzymać się na nogach i wznosząc swą prawicę, uderzył policjanta w rękę.

Mój mistrz był coprawda silnym starcem, ale jednak starcem; policjant zaś był człowiekiem młodym, pełnym sił. Bójka między nimi nie byłaby równą, ale do bójki nie przyszło.

— Czego pan chcesz odemnie? — zapytał Witalis.

— Aresztuję was. Dalej za mną na posterunek.

— Dlaczego pan biłeś to dziecko?

— Szkoda słów; idź pan zaraz za mną!

Witalis nie odrzekł mu nic, lecz zwrócił się do mnie.

— Wracaj do oberży z psami, — rzekł do mnie — i czekaj na wiadomość odemnie.

Nie mógł mówić więcej, bo policjant go już wprowadzał.

Tak skończyło się to przedstawienie, które mój mistrz chciał uczynić zabawnem, a które stało się tak smutnem.

W pierwszej chwili psy chciały biec za swym panem, ale nakazałem im, by zostały przy mnie. Przyzwyczajone do posłuszeństwa, usłuchały.

Wtedy dopiero spostrzegłem, że miały założone kagańce, ale były to kagańce z przewiązanego jedwabiu, z kokardkami przy pyszczkach.

Wróciłem do oberży zasmucony i bardzo niespokojny.

Witalis w pierwszych tylko kilku godzinach budził we mnie przestrah. W krótkim czasie przywiązałem się do niego szczerze, a moje przywiązanie wzrastało z dniem każdym. Rodzony ojciec nawet nie troszczyłby się więcej o swe dziecko, jak on o mnie. Kochał mnie i ja go kochałem.

Ta rozłąka dotykała mnie zatem boleśnie. Kiedyż zobaczymy się znowu ze sobą?

Mówiono o uwięzieniu. Jakżeż długo mogło trwać takie uwięzienie?

Cóż pocznę w tym czasie? Z czegoż żyć będę? Mój mistrz miał zwyczaj nosić przy sobie pieniądze, a gdy go policjant uprowadzał, nie zdążył dać mi takich.

Miałem tylko kilka groszy w kieszeni; czyliż z tego wyżywię nas wszystkich, Żolisia, pieski i siebie samego?

Dwa dni spędziłem w wielkiej trwodze, nie śmiąc wyjść z podwórka oberży i zajmując się Żolisem i pieskami, które były też niespokojne i zmartwione.

Wreszcie trzeciego dnia jakiś człowiek przyniósł mi list od Witalisa, który mi donosił, że go trzymają w więzieniu, lecz w przyszłą sobotę ma być sądzonym za stawianie oporu i czynną zniewagę wymierzoną reprezentantowi władzy.

— Popełniłem wielki błąd, dając się uwieść gniewowi, — dodawał. — Mogę to drogo okupić. Ale już za późno na niewczesne żale. Przyjdź na rozprawę sądową; wyciągniesz z niej naukę dla siebie.

Dowiedziałem się, że rozprawa rozpoczyna się o godzinie dziesiątej. Już o dziewiątej w sobotę stałem oparty plecami o drzwi i pierwszy wszedłem na salę. Zwolna sala zapełniła się i poznałem wiele osób, które były obecni przy scenie z policjantem.

Nie wiedziałem, co to są trybunały i prawo, ale bezwiednie lękałem się ich w okropny sposób.

Witalis zasiadł na ławce między dwoma żandarmami.

Przyglądałem się memu mistrzowi, który stał z swymi długimi, siwymi włosami w tył odrzuconymi, z miną zawstydzoną i zmartwioną. — Spojrzałem na sędziego, który mu zadawał pytania.

— A więc przyznajesz się pan do tego, żeś wymierzył uderzenia policjantowi, który pana zaaresztował?

— Uderzenia, nie, panie prezydencie, ale jedno uderzenie. Przybywając na miejsce, gdzie miało się odbyć nasze przedstawienie, ujrzałem policjanta wymierzają-

cego policzek dziecku, które mi towarzyszy w moich wycieczkach.

— Więc to nie pańskie dziecko?

— Nie, panie prezydencie, ale kocham tego chłopca, jakby był moim własnym synem. Widząc, że go policjant bije, uniosłem się gniewem, pochwyciłem policjanta za rękę i przeszkodziłem mu w dalszem biciu.

— Lecz pan sam uderzyłeś policjanta?

— Dopiero wtedy, gdy tenże pochwycił mnie za kołnierz, na chwilę zapomniałem, że mam do czynienia z policjantem i bezwiednie, mimowolnie dałem się unieść gniewowi.

— W pańskim wieku powinno się umieć zapanować nad gniewem.

— Tak, powinno się, lecz niezawsze czyni się to, co się czynić powinno; widzę to dziś po sobie.

— Przესłuchamy teraz policjanta.

Policjant opowiedział całe zdarzenie tak, jak ono się w istocie wydarzyło, lecz kładąc większy nacisk na sposób, w jaki wyśmiewano się z jego osoby, z jego głosu, z jego gestów, niż na uderzenie, jakie otrzymał.

Podczas tego zeznania Witalis zamiast słuchać z uwagą, rozglądał się na wszystkie strony po sali. Domyśliłem się, że mnie szuka. Zdecydowałem się opuścić kąt, w który się schowałem i przecisnąłem się poprzez tłum ciekawych do pierwszego rzędu.

Spostrzegł mnie i rozjaśniła się jego twarz zasmucona. Odczułem, że go mój widok uszczęśliwia i mimowoli oczy moje napełniły się łzami.

— To jest wszystko, co pan możesz powiedzieć na swoją obronę? — zapytał wreszcie prezydent.

— Ze względu na mnie, nie mam nic więcej do nadmienienia; lecz ze względu na dziecko, które kocham czule i które pozostanie samo, błagam o wyrozumiałość trybunału i upraszam, aby nas na możliwie najkrótszy czas rozłączono.

Sądziłem, że puszcza mego mistrza na wolność; ale tak się nie stało.

Inny jakiś urzędnik sprawiedliwości przemawiał przez kilka minut, poczem prezydent głosem donośnym oznajmił, że podsądny Witalis, któremu dowiedziono opór i czynną zniewagę reprezentanta władzy, skazanym został na dwa miesiące więzienia i sto franków kary.

— Dwa miesiące więzienia!

Przez łzy widziałem, jak drzwi się rozwarły i zamknęły za wychodzącym Witalisem, któremu towarzyszył żandarm. Dwa miesiące rozłąki. Gdzież przez ten czas się udać?

X.

Na statku.

Wracając do oberży z sercem stroskanem, z oczyma od płaczu czerwonemi, zastałem przy bramie podwórza oberżystę, który przyglądał mi się długo.

Chciałem przesunąć się koło niego, by iść do pie-sków, lecz zatrzymał mnie.

— Na jak długo twój mistrz jest skazany? — zapytał.

— Na jak długo? Na dwa miesiące więzienia.

— I na jak wysoką karę pieniężną?

— Na sto franków.

— Dwa miesiące, sto franków, — powtórzył trzy czy cztery razy.

Chciałem znowu przejść koło niego, lecz znów mnie zatrzymał.

— I co ty chcesz robić przez te dwa miesiące?

— Nie wiem, panie.

— Ach, ty nie wiesz! A czy masz pieniądze, by siebie i zwierzęta używić?

— Nie, nie mam, panie.

— A więc liczysz na mnie, że ja was żywić będę?

— O nie, panie, nie liczę na nikogo.

— I masz słuszość, mój chłopcze, — mówił dalej oberżysta. — Twój mistrz jest mi już wiele pieniędzy winien, nie mogę ci więc udzielać kredytu przez dwa miesiące, nie wiedząc wcale, czy w końcu otrzymam zapłatę, a więc najlepiej idź sobie stąd precz.

— Mam iść stąd precz, ale dokąd, panie?

— Weź, chłopcze, twoje psy i twoją małpkę i ruszaj w świat. Pozostawisz mi naturalnie worek twego mistrza, który wyszedłszy z więzienia, przyjdzie tu poń i wtedy załatwimy nasz obrachunek.

— Ależ panie, gdzież ma mnie szukać mój mistrz, gdy wyjdzie z więzienia? Chyba tylko tutaj.

— Potrzebujesz tylko powrócić tu tego dnia; a teraz wyrusz na dwa miesiące na wycieczkę po okolicach i miastach kąpielowych. Możesz tam dużo pieniędzy zarobić.

— A jeżeli mój mistrz pisać do mnie będzie?

— To zachowam ci jego listy.

Spieszno mi było opuścić miasto, bo moje psy nie miały kagańców. Cóż odpowiedziałbym, gdybym spotkał policjanta? Że nie mam pieniędzy na kupienie kagańców? To było prawdą, gdyż miałem tylko jedenaście groszy w kieszeni, a to nie wystarczało na taki wydatek.

Biegnać koło mnie, pieski wznosiły łebki swoje ku mnie, spoglądając mi w oczy błagalnie. Nie potrzeba było słów, by zrozumieć, że były głodne.

I ja także odczuwałem głód, bo nie jadłem wcale śniadania. Ale mając jedenaście groszy w kieszeni, nie można było jadać śniadania i obiadu; trzeba było kontentować się jednorazowym posiłkiem w ciągu dnia.

Tak szliśmy mniej więcej przez dwie godziny, w czasie których nie śmiałem się zatrzymać i w czasie których pieski coraz błagalniej na mnie spoglądały. Żoliś zaś ciągnął mnie za ucho i coraz mocniej pocierał sobie brzuszek łapką.

Nareszcie wydawało mi się, że już dość daleko oddaliłem się od Tuluzy, aby nie potrzebować się niczego obawiać. Wstąpiłem zatem do pierwszej piekarni, jaką napotkałem po drodze. Zażądałem półtora funta chleba.

Piekarka wzięła piękny, sześćofuntowy chleb, jaki bylibyśmy z apetytem cały zjedli i odkrajała żadaną ilość, kładąc ją na wagę, którą lekko poruszyła.

— To trochę zawiele, — rzekła, — jest za dwa grosze więcej. — I wrzuciła w szufladę moje ośm groszy.

Widziałem ludzi, którzy nie przyjmowali zwracanych im groszaków, mówiąc, że sobie nic z takowych nie robią. Co do mnie, to nie byłbym odrzucił groszy, które piekarka była mi winna, lecz nie śmiałem dopominać się o takowe i wyszedłem, nie mówiąc i trzymając chleb mój pod pachą. Pieski uszczęśliwione skakały naokoło mnie, a Żoliś ciągnął mnie za włosy, wydając ciche okrzyki.

Nie szliśmy już daleko. Pod pierwszym drzewem przydrożnem oparłem moją harfę o pień i wyciągnąłem się na trawie. Pieski zasiadły mi naprzeciw, Kapi pośrodku, a Psinka i Zerbino po bokach. Żoliś nie będąc zmęczonym, stał gotów do chwytania kawałków przeznaczonych dla niego.

Podzielić mój kawał chleba było sprawą delikatną.

Przekrajałem go na pięć możliwie równych kawałków i aby ani okruszyna się nie zmarnowała, rozdzierałem go w małych skibkach każdemu po kolei.

Po kilku chwilach wypoczynku dałem znak do dalszej drogi. Trzeba nam było zarobić na nocleg, aby nie nocować pod gołym niebem, a przynajmniej aby mieć na jutrzejsze śniadanie.

Po godzinie drogi ujrzeliśmy przed sobą wioskę, w której spodziewałem się znaleźć to, czego pragnąłem.

Przybywszy na placyk, pośrodku którego znajdował się wodotrysk ocieniony drzewami, zacząłem grać walca na harfie.

Ale choć grałem, jak najlepiej, a Zerbino i Psinka pokazywały co umieją, nikt nawet nie spojrzał w naszą stronę.

To mogło wprost doprowadzić do rozpacz.

Ale ja nie rozpacziałem i grałem jeszcze donośniej tak, że myślałem, iż struny mej harfy popękają. Ale napróżno. Wtedy rozkazałem Zerbinowi i Psince, by się położyły i zanuciłem moją piosenkę z takim przejęciem, jak nigdy dotychczas. Rozpocząłem drugą zwrotkę, gdy jakiś człowiek przybrany w kaftan i w kapelusz pilśniowy zbliżył się ku nam.

— Nareszcie!

Śpiewałem z jeszcze większem przejęciem.

— Hola! co robisz tu, łobuzie, — zawołał ów człowiek.

Przerwałem, zdziwiony jego odezwaniem się i stałem z buzią otwartą w czasie, gdy on się do mnie zbliżał.

— Odpowiesz mi, czy nie? — odezwał się raz jeszcze.

— Jak pan słyszy, śpiewam.

— A czy masz pozwolenie do śpiewania na placu naszej gminy?

— Nie, panie.

— A więc wynoś się natychmiast, bo jak nie, to wytoczę skargę przeciw tobie.

Nie czekałem, aż ów człowiek drugi raz ten rozkaz mi powtórzy, lecz obróciłem się na pięcie i ruszyłem w drogę.

W pięć minut potem opuściłem już tę gminę, tak mało gościnną, lecz tak pilnie strzeżoną.

Pieski moje szły za mną z pospuszczanemi łebkami i ze smutnemi minkami, odgadując zapewne, że wydarzyła nam się niemiła przygoda.

Gdy już dostatecznie się oddaliliśmy, by nie potrzebować obawiać się brutalnego nadejścia stróża bezpieczeństwa, uczyniłem znak ręką i natychmiast wszystkie trzy pieski stanęły naokół mnie. Kapi pośrodku, nieruchomy, z oczyma utkwionemi w moich.

— Nie mamy pozwolenia na granie, — mówiłem, — więc wyrzucają nas.

— A więc? — pytał się Kapi poruszeniem łebka.

— A więc musimy nocować przy świetle gwiazd i to bez wieczerzy.

Na wzmiankę o wieczerzy pieski wydały głuchy pomruk.

Pokazałem im moje trzy grosze.

— Wiedziecie, że to jest wszystko, co nam pozostaje; jeżeli wydamy te pieniądze dziś wieczorem, nie będziemy mieli nic jutro na śniadanie. Dziś jedliśmy już raz; należy nam pamiętać o jutrze.

I włożyłem moje trzy grosze do kieszeni.

Kapi i Psinka spuściły łebki z poddaniem się swemu losowi, ale Zerbino, który niezawsze okazywał silny charakter i który ponadto był łakomym, pomrukiwał ustawicznie.

Dzień był pogodny, gorący, więc nocowanie o takiej porze pod gołym niebem nie było zbyt przykrem. Trzeba się było jednak tak urządzić, by nie napotkać wilków, które mogły znajdować się gdzie w okolicy, albo, co dla nas jeszcze niebezpieczniejszem było, nie spotkać się ze stróżami bezpieczeństwa publicznego, których obawiałem się więcej niż dzikich zwierząt.

Nie pozostawało mi nic innego, jak iść prosto przed siebie bielejącą w przestrzeni drogą tak długo, aż nie napotkam jakiego schronienia. — Tak też uczyniliśmy.

Trzeba się było wreszcie zatrzymać na nocleg w lesie na wyciętej polance, w środku której wznosiły się głazy granitowe.

W wydrażeniu jednego z tych olbrzymich głazów, dokąd wiatry naniały stos zeschniętego igliwia i liści, znaleźliśmy schronienie i legowisko.

Lepiej nie mogliśmy natrafić; mieliśmy łoże, aby się na niem wyciągnąć i dach, który nas ochraniał. Brakło nam tylko chleba na wieczerzę, ale nie chciałem

o tem myśleć. Przysłowie zresztą powiada: Kto śpi, nie grzeszy, trzeba więc było usnąć.

Przed zaśnięciem wytłomaczyłem Kapiemu, że liczę na niego, że nas przed złem ustrzeże i dobre stworzonko zamiast położyć się obok nas na legowisku z suchego igliwia, pozostało na straży na dworze. Mogłem być spokojny, że nikt nie najdzie nas niespodzianie.

Nie mogłem jednak usnąć i położywszy się na brzuchu, płakałem z twarzą ukrytą w dłoniach, nie mogąc łez moich powstrzymać.

Wtem ciepły oddech owiał moje włosy.

Odwróciłem się i poczułem ciepłe i wilgne dotknięcie na mej twarzy.

Był to Kapi, który płacz mój posłyszawszy, przybiegł mnie pocieszyć tak, jak ongi w pierwszą noc mej podróży i lizał mnie po twarzy.

Objąłem go za kark i uściśkałem, wtedy kilkakrotnie zaskomlał, jakby płakał wraz ze mną, chcąc żał mój dzielić.

Gdy się zbudziłem, był już dzień jasny, a Kapi siedział przedemną, przyglądając mi się. — Ptactwo śpiewało wśród gałęzi. Gdzieś w dali dzwon kościelny dzwonił na Anioł Pański. — Słońce stało już wysoko na niebie, a jego jasne, ciepłe promienie rozgrzewały mi zarówno serce, jak i ciało.

Nasza toaleta poranna wnet była ukończona i ruszyliśmy w drogę ku stronie, z której nas dźwięki dzwonu dochodziły. — Zapewne znajdowała się tam jaka wioska, a w niej skład piekarza. Gdy się dnia poprzedniego nie jadło obiadu, ani kolacji, to głód odzywa się wcześniej.

Zdecydowałem się wydać moje ostatnie trzy grosze; a potem zobaczymy.

Przybywszy do wsi, nie potrzebowałem pytać się o piekarnię. Nasze powonienie służyło nam za przewodnika. Zdaleka już poczuliśmy nęcący zapach świeżego chleba.

Za trzy grosze chleba, którego funt kosztuje pięć groszy! Każdemu z nas dostał się więc tylko mały kawałek i prędko uwinęliśmy się ze śniadaniem.

Nadeszła chwila, w której trzeba było koniecznie pomyśleć o zarobku. Przebiegłem wieś, oglądając się za miejscem najodpowiedniejszym do przedstawienia.

Przejęty tą myślą, posłyszałem naraz krzyki za sobą. Obejrzałem się żywo i ujrzałem starą kobietę, goniącą Zerbina. Spojrzawszy, zrozumiałem, co było powodem tej gonitwy i tych krzyków.

Zerbino korzystając z tego, że na niego nie zważałem, wpadł do pewnego domu, gdzie porwał kawał mięsa, unosząc go w pysku.

— Złodziej, — wołała stara kobieta, — aresztujcie ich wszystkich.

Słyszając te słowa i czując się odpowiedzialnym za winę mego psa, począłem uciekać. Cóż odpowiedziałbym bowiem, gdyby stara kobieta zażądała odemnie zapłaty za skradziony kawał mięsa? Czem zapłaciłbym jej? — Raz przytrzymani, nie odzyskalibyśmy już może tak wnet wolności.

Widząc, że ja uciekam, Kapi i Psinka biegły także za mną, a Żoliś, którego niosłem na ramieniu, objął mnie za szyję, by nie spaść.

Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy mi już tchu zabrakło, to jest wtedy, gdy ubiegłem już ze dwa kilometry. Obejrzałem się poza siebie. Nikt nas nie ścigał. Kapi i Psinka byli tuż przy mnie; Zerbino trzymał się zdaleka, zapewne dlatego, aby zjeść swój kawałek mięsa.

Zawołałem na niego, ale Zerbino poczuwając się do winy, zasługującej na surową karę, zamiast przybiec do mnie, począł uciekać.

Nie wiedząc wcale, dokąd zdążam w szalonej ucieczce, przybyłem nad brzegi kanału Południowego. Wszędzie widniała świeża, bujna zieleń. Małe źródelko sączyło się z rozpadliny skalnej, jakoby wysłanej rośli-

nami, które w kwitnących girlandach opadały wzdłuż płynącej wody. Było tu prześlicznie.

Pozostawało mi jedno. Trzeba było czekać, aż Zerbino zechce powrócić. Znałem go; po pierwszym odruchu buntu, podda się karze, na jaką zasłużył i powróci skruszony.

Usiadłem pod drzewem, przywiązawszy Żolisia, aby czasem nie przyszła mu fantazja pobiec za Zerbino. — Kapi i Psinka ułożyły się u moich nóg.

Czas upływał, a Zerbino nie pokazywał się. — Wreszcie usnąłem w słońcu.

Gdy się zbudziłem, musiało upłynąć już wiele godzin dnia, bo słońce chyliło się ku zachodowi. Lecz nie potrzebowałem patrzeć na słońce, aby wiedzieć, że jest późno; próżny żołądek przypominał mi, że to już dawno, gdy zjadłem kawałek chleba. — Oba pieski i Żoliś okazywały także, że są głodne, Kapi i Psinka żalosnymi minkami, a Żoliś stając grymasy.

A Zerbina jeszcze nie było.

Wołałem na niego, gwizdałem, ale wszystko na nic się nie zdało, nie pokazał się. — Najadłszy się porządnie na śniadanie, przetrawiał je spokojnie, skulony gdzie pod krzakiem.

Moje położenie stawało się krytycznem. Jeżeli pójde sobie, Zerbino może zaginać; jeżeli na miejscu pozostanę, nie będę miał okazji do zarobienia choć paru groszy na jedzenie. — A właśnie potrzeba jedzenia stawała się coraz bardziej naglącą. — Oczy piesków rozpaczliwie utkwione były w moich, a Żoliś tarł sobie brzuszki, wydając gniewne okrzyki.

Cóż uczynić?

Chociaż Zerbino zawinił i postawił nas w okropne położenie, nie mogłem pomyśleć o opuszczeniu go. Cóż powiedziałby mój mistrz, gdybym mu nie odprowadził jego trzech piesków? A zresztą mimo wszystko kochałem tego gałgana Zerbina.

Postanowiłem czekać aż do wieczora, ale było niepodobieństwem siedzieć tak beczynnie o głodzie ścisającym nam wnętrzności.

Trzeba było coś wymyśleć, coby nas czworga zajęło i zabawiło.

Gdybyśmy mogli tylko zapomnieć o głodzie, to mniej odczuwalibyśmy go w czasie tych godzin oczekiwania.

Czem zająć nas?

Zastanawiając się nad tem, przypomniałem sobie, jak Witalis opowiadał mi, że w czasie wojny, gdy jaki regiment zrużony jest długim marszem, to muzyka mu zagra, a przy jej wesołych i porywających dźwiękach żołnierze zapominają o swem zmęczeniu.

Jeżeli zagram coś wesołego, to może zapomnimy o dręczącym nas głodzie. Mnie, zajętemu graniem, a pie-skom, tańczącym z Żolisem, czas w każdym razie prędzej upłynie.

Ująłem harfę opartą o drzewo i odwrócony plecami do kanału, ustawivszy wpierw moich komedjantów, zagrałem taneczną przygrywkę, a następnie walca.

Z początku aktorzy moi nie byli jakoś usposobieni do tańca; było widocznem, że kawałek chleba byłby im obecnie miłszym. Ale z wolna ożywili się. Muzyka wywarła swój skutek. Zapomnieliśmy wszyscy o braku kawałka chleba, ja grając, oni tańcząc.

Wtem posłyszałem jasny głosik dziecięcy, wołający „brawo!“ Ten głos dochodził mnie od tyłu. — Odwróciłem się żywo.

Jakiś statek zatrzymał się na kanale, zwrócony przodem do brzegu, na którym się znajdowałem. Dwa konie, które były zaprzężone do statku, zatrzymały się na brzegu przeciwległym.

Był to dziwny statek, jakiego nigdy przedtem, ani potem nie widziałem; był on o wiele krótszym, niż zwykle statki, jakich używa się do żeglugi na kanałach. Na pomoście, wzniesionym nieco ponad wodą, był zbudowany rodzaj oszklonej galerji, na której przodzie

urządzoną była weranda, ocieniona pnąciami się roślinami. Na tej werandzie ujrzałem dwie osoby: kobietę młodą jeszcze, wyglądającą po pańsku, ale jakby czegoś zasmuconą, w postawie stojącej i chłopca w moim mniej więcej wieku, leżącego na wznak.

To dziecko musiało niezawodnie zawołać mi brawo.

Ochłonawszy ze zdziwienia, zdjąłem kapelusz. dziękując ukłonem za oklask.

— Czy grasz tak dla swej przyjemności? — zapytała mnie dama, zatracając cudzoziemskim akcentem.

— Aby zająć mych komedjantów i także... aby się rozerwać cokolwiek.

Dziecko uczyniło jakiś znak. Dama pochyliła się ku niemu.

— Chciałbyś nam zagrać jeszcze? — zapytała, podnosząc głowę.

Czy chciałem grać? I to grać dla publiczności, która mi tak w samą porę przybywała? — Nie kazałem się prosić.

Wziąłem znów harfę do ręki i począłem grać walczyka. Natychmiast Kapi objął dwiema łapkami Psinkę i obracał się z nią w kółko do taktu. Potem Żoliś zatańczył solo. I tak przeszliśmy nasz cały repertuar.

Nie czuliśmy zmęczenia. Moi komedjanci zrozumieli niezawodnie, że czeka ich obiad po trudach i nie oszczędzali się tak samo, jak i ja się nie oszczędzałem.

Nagle w czasie przedstawienia ujrzałem, jak Zerbi-no wysunął się z za krzaka i gdy jego towarzysze przesuwali się koło niego, zuchwale ustawił się wśród nich, obejmując bez wszystkiego swą rolę.

Grając i dozorując mych komedjantów, spoglądałem zarazem od czasu do czasu na młodego chłopca, który, rzecz dziwna, choć zdawał się znajdować wielką przyjemność w naszych ćwiczeniach, nie poruszał się wcale. Leżał wyciągnięty, w zupełnej nieruchomości całego ciała, tylko rączkami nam przyklaskiwał.

Czy był on sparaliżowanym? — Zdawało mi się, że jest przywiązany do deski.

Nieznacznie prąd wiatru popychał statek ku brzegowi, na którym się znajdowałem; mogłem się więc teraz tak dobrze chłopcu przyjrzeć, jakbym się sam znajdował na statku obok niego. Miał on włoski blond, a twarzyczkę tak bladą, że widać było mu na czole niebieskawe żyłki z pod przezroczystej skóry. Wyraz twarzy miał łagodny i smutny zarazem, widać po nim było, że jest chorowitym.

— Wiele się płaci za miejsca w waszym teatrze? — zapytała mnie dama.

— Każdy płaci w stosunku do przyjemności, jakiej doznał.

— W takim razie trzeba im bardzo dużo zapłacić, — rzekło dziecko, dodając kilka słów w języku, którego nie zrozumiałem.

— Artur chciałby zobaczyć twoich aktorów zbliśka. — rzekła do mnie dama.

Dałem znak Kapiemu, który zapędziwszy się, wskoczył na statek.

— A drudzy? — zapytał Artur.

Zerbiño i Psinka poszli w ślady swego towarzysza.

— A małpka?

Żoliś łatwo byłby dokonał skoku, ale nigdy nie można było spuścić się na niego. Będąc na statku, mógł sobie pozwolić na żarty, które może nie przypadłyby do gustu damie.

— Czy ta małpka jest niegrzeczną? — zapytała.

— Nie, pani; ale czasami nie słucha i obawiam się, aby nie zachowywała się niestosownie.

— A więc pójdź na statek wraz z małpką.

Mówiąc to, dała znak człowiekowi, który stał w tyle u steru. Sternik posunąwszy się naprzód, rzucił na ląd deskę.

To był most, po którym mogłem wejść na statek, nie ryzykując niebezpiecznego skoku. Wkroczyłem poważnie z harfą na ramieniu i trzymając Żolisia na rękę.

— Małpka, małpka, — wołał Artur.

Zbliżyłem się do chłopca i w czasie, gdy głaskał i pieścił Żolisia, mogłem mu się napatrzeć dowoli.

Rzecz zadziwiająca, był on naprawdę przywiązanym do deski tak, jak mi się to zaraz z początku wydawało.

— Masz zapewne ojca, nieprawdaż, dziecko? — zapytała mnie dama.

— Tak, ale chwilowo jestem sam.

— Na jak długo?

— Na dwa miesiące.

— Dwa miesiące! O mój biedny malcze! Jakto, w twoim wieku na tak długo sam sobie pozostawiony jesteś?

— Tak być musi, proszę pani.

— Twój pan nakazał ci bezwzględnie uzbierać pewną sumę pieniędzy w przeciągu tych dwóch miesięcy.

— To nie, proszę pani, on mi nic nie nakazał; ale muszę starać się, aby wyżyć przez ten czas z moją trupą.

— I miałeś też z czego wyżyć aż do dnia dzisiejszego?

Zawahałem się, co odpowiedzieć. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie budziła we mnie takiego szacunku, jak ta właśnie; lecz mówiła do mnie tak dobrotliwie, głos jej był tak słodkim, spojrzenie tak miłe, zachęcającem, że postanowiłem powiedzieć prawdę. Zresztą z jakiego powodu miałbym prawdę przemilczeć?

Opowiedziałem jej więc, jak przyszło do tego, że się musiałem rozstać z Witalisem, skazanym na więzienie za to, że mnie bronił i że od czasu opuszczenia Tuluzy nie mogłem zarobić ani grosza.

W czasie, gdy mówiłem, Artur bawił się z psami, lecz równocześnie przysłuchiwał się uważnie memu opowiadaniu.

— Jak bardzo musicie być wszyscy głodni, — zawołał.

Na słowo „głodni“, które im było dobrze znane, pieski poczęły szczeakać, a Żoliś tarł sobie brzusek z wściekłością.

— O mamó, — rzekł Artur.

Dama przemówiła kilka słów w obcym języku do kobiety, która w drzwiach półotwartych stanęła i która natychmiast przyniosła nakryty stoliczek.

— Usiądź, dziecko, — rzekła do mnie dama.

Nie dałem się prosić; odłożyłem harfę i usiadłem żywo przed stolikiem. Pieski zasiadły na ziemi naokół mnie, a Żoliś na moich kolanach.

— Czy twoje pieski jedzą chleb? — zapytał mnie Artur.

— I jak jadły! Dałem każdemu z nich kawał, który pożarły.

— A małpka? — pytał Artur.

Lecz nie było potrzeby kłopotać się o Żolisia, który w czasie, kiedy obdzielałem psy, pochwycił kawał ciasta z pasztetem, którym dławił się pod stołem.

I ja także wziąłem sobie plasterek pasztetu, lecz choć nie dławiłem się nim, jak Żoliś, jadłem go jednak również łapczywie.

— Biedne dziecko, — rzekła dama, napełniając moją szklankę.

Artur nic nie mówił, lecz przyglądał nam się rozwartemi szeroko oczyma, zdumiony zapewne naszym apetytem, gdyż wszyscy jedliśmy żarłocznie, nawet Zerbino, który powinien się być już nasycić skradzionem mięsem.

— A gdzież bylibyście dziś obiad jedli, gdybyśmy się nie byli tutaj spotkali? — pytał Artur.

— Sądzę, że nie jedlibyśmy wcale obiadu.

— A gdzież będziecie jutro jedli obiad?

— Może jutro znów spotkamy kogoś nam tak przychylnego, jak dzisiaj.

Nie przerywając rozmowy ze mną, Artur zwrócił się do matki i mówił z nią o czemś długo w obcym ję-

zyku, który już raz słyszałem. Zdawało mi się, że Artur prosi o coś, czemu dama jest przeciwną, a przynajmniej podnosi jakieś zarzuty wobec tego.

Nagle obrócił się głową do mnie, gdyż ciało jego pozostało nieporuszone.

— Czy chciałbyś z nami pozostać? — rzekł.

Spoglądałem na niego, nie odpowiadając, tak mnie to pytanie zaskoczyło.

— Syn mój chciałby, abyś pozostał z nami.

— Tu na tym statku?

— Tak, na tym statku. Syn mój jest chorym i lekarzy nakazali, by leżał nieruchomo, przywiązany do deski. Aby mu się czas nie dłużył, wożę go tym statkiem. Pozostawszy tu z nami, dawałbyś z twemi pieśkami i małpką przedstawienia dla Artura. Grywałbyś nam też na harfie. I tak z jednej strony oddałbyś nam przysługę, a z drugiej strony i my bylibyśmy ci pożyteczni. Codziennie nie znalazłbyś może chętnych widzów, co zresztą dla dziecka w twoim wieku nie jest zbyt łatwem.

Na statku! Nigdy dotychczas nie byłem jeszcze na statku, czego zresztą gorąco pragnąłem. Będę żył na statku, pływającym na wodzie, co za szczęście!

To było moją pierwszą myślą, która mnie olśniła. Czyżby to był sen?

W kilku sekundach uświadomiłem sobie, ile szczęścia zawierała w sobie ta propozycja i jak wspaniałomyślną była ta, która mi tę propozycję uczyniła.

Pochwyciłem i ucałowałem ręce damy.

Wzruszyła ją widocznie ta oznaka wdzięczności i z czułością pogłaskała mnie wielokrotnie po czole.

— Biedny malcze! — rzekła.

Żądano odemnie gry na harfie. — Zdawało mi się, że nie powinienem być ociążać się z zastosowaniem się do wyrażonego mi życzenia; gdyż w ten sposób mogłem okazać równocześnie i moje dobre chęci i moją wdzięczność.

Pochwyciwszy mój instrument, zająłem miejsce na przodzie statku i począłem grać.

W tej samej chwili dama podniosła do ust małą srebrną gwizdawkę i zagwizdała przeciągle.

Przestałem natychmiast grać, nie wiedząc, z jakiego powodu dama gwizdała. Czy dlatego, że może źle grałem, czy też miałem dać spokój graniu?

Artur, który zważał na wszystko, co się naokół działo, odgadł mój niepokój.

— Mamusia gwizdała, aby konie z miejsca ruszyły, — rzekł.

W istocie statek, który oddalał się od brzegu, sunął po cichych wodach kanału, ciągnięty przez konie. Woda chlupotała o ściany statku, a z obu stron drzewa, oświecone ukośnymi promieniami zachodzącego słońca, zdawały się uciekać w tył za nami.

— Czy chcesz nam zagrać? — zapytał Artur.

I skinieniem głowy przywołał matkę do siebie, uchwycił jej rękę i trzymał ją w swych dłoniach przez cały czas, w którym grałem różne sztuczki, jakich mnie mój mistrz nauczył.

XI.

Mój pierwszy przyjaciel.

Matka Artura była Angielką i nazywała się panią Milligan; była ona wdową, a Artur był jej jedynym dziećciem. Miała ona jeszcze wprawdzie starszego syna, ale ten znikł jej w sposób tajemniczy, licząc zaledwie sześć miesięcy życia. Ktoś musiał ukraść to dziecko, którego śladów nie można było dotąd odnaleźć. W owym czasie, gdy dziecko zaginęło, pani Milligan nie mogła czynić żadnych poszukiwań. Mąż jej dogorywał wówczas, a ona sama leżała ciężko chora i bezprzytomna, nie wiedząc o niczem, co się naokół niej dzieje. Gdy powróciła do zdrowia, mąż jej już umarł, a synek zaginął. Poszukiwania za zaginionem dziećciem czynił

przyrodni brat jej męża, Jakób Milligan, który w razie bezpotomnego zejścia ze świata jej męża, stawał się jego spadkobiercą. Jego poszukiwania, prowadzone w Anglii, we Francji, w Belgii, w Niemczech i we Włoszech nie doprowadziły do niczego. Nie można było dowiedzieć się, co stało się z zaginionem dzieckiem.

Jakób Milligan nie odziedziczył jednak spadku po swoim bracie, gdyż w siedem miesięcy po śmierci swego męża pani Milligan wydała na świat dziecko, którem był mały Artur.

Ale to dziecko wątłe i chorowite nie było zdolnem do życia, — mówili doktorzy — i mogło umrzeć każdej chwili, a wtedy pan Jakób Milligan stałby się dziedzicem tytułu i majątku swego starszego brata. Prawa dziedzictwa nie są bowiem równe we wszystkich krajach i w Anglii przepisy prawne pozwalają na to w pewnych okolicznościach, że stryj dziedziczy z poszkodowaniem matki.

Spełnienie nadziei pana Jakóba Milligana zostało zatem przez narodziny jego siostrzeńca opóźnionem, lecz nie było zniweczonem. Potrzebował tylko czekać.

I czekał.

Ale przepowiednie lekarzy nie spełniły się. Artur pozostał chorowitym, ale nie umarł. Starania jego matki utrzymały go przy życiu. Było to cudem, który dzięki Bogu, zdarza się dość często na świecie.

Dwadzieścia razy uznano stan jego za beznadziejny; dwadzieścia razy uratowanym został. Kolejno zapadał na wszelkie możliwe choroby, a kilkakrotnie odrazu na kilka chorób, jakim tylko wiek dziecięcy podlega.

W ostatnim czasie wywiązało się u niego okropne cierpienie, — zachorował na silne zapalenie stawów, zwłaszcza w biodrach.

Leczono go najpierw siarczanami kąpielami i dlatego pani Milligan przybyła do Pirenejów. Ale gdy kąpiele siarczane nic nie pomogły, spróbowano innego spo-

sobu leczenia, to jest przywiązano chorego wzdłuż do deski, aby się wcale poruszać nie mógł.

Wtedy to pani Milligan kazała w Bordo zbudować ten statek, na którym się obecnie znajdowałem.

Zmieniono statek na pływający domek z pokojami, z kuchnią i werandą. W salonie albo na werandzie, zależało to od pogody, przebywał Artur od rana do wieczora w towarzystwie swej matki. Bez wysiłku mógł napawać się widokiem różnych krajobrazów, które przesuwały się przed jego oczyma.

Przed miesiącem opuszczono Bordo, a przepłynąwszy rzekę Garonnę, przybyto do kanału Południowego, skąd miano płynąć przez stawy i kanały ciągnące się wzdłuż morza Śródziemnego. Następnie na falach różnych rzek miano dopłynąć aż do Ruan¹⁾ i tam wsiąść na wielki okręt, by powrócić do Anglii.

Tych wszystkich szczegółów o pani Milligan i o Arturze nie dowiedziałem się odrazu, lecz dopiero zwolna.

W dniu mego przybycia poznałem tylko pokóik, jaki był dla mnie przeznaczony na „Łabędzieu“, gdyż łabędziem nazywano statek. Pokóik ten miał tylko dwa metry długości, a metr szerokości, ale wydał mi się najpiękniejszym, jakim go tylko wyobraźnia dziecięca wymarzyć mogła.

Rozebrawszy się i wyciągnąwszy się na łóżku, doznałem nieznanego mi dotąd uczucia rozkoszy. Po raz to pierwszy spoczywałem na miękkim, wonnem posłaniu, na którym inaczej się leżało, niż wczoraj na zeschniętym igliwiiu.

Ale choć dobrze mi się leżało w wygodnem łóżku, nazajutrz wstałem dodnia, bo byłem niespokojny, jak moi komedjanci noc przepędzili.

Znalazłem ich śpiących smacznie na ich legowiskach tak, jakby się już od wielu miesięcy na tym statku znajdowali. Za mojem nadejściem psy pobudziły się

¹⁾ Pisze się właściwie: Rouen.

i przybiegły do mnie radośnie, domagając się zwykłej porannej pieśczoły.

Marynarz, którego wczoraj widziałem u steru, wstał już i uprzętał pomost. Przerzucił mi znów aż do ładu deskę, po której wraz z moją trupą przeszedłem na łakę.

Bawiliśmy się bieganiem, skakaniem przez rowy i wskrabywaniem się na drzewa. Czas upływał nam prędko. Gdy powróciliśmy, konie były już zaprężone do statku.

Wsiadłem prędko na statek. W kilka minut potem zluźniono linę, która przytrzymywała go na brzegu. Marynarz zajął miejsce przy sterze, woźnica dosiadł konia, piasek zaskrzypiał pod kołami statku, — byliśmy w drodze.

Jakaż to przyjemność podróżować statkiem! Konie ciągnęły statek, który sunął tak lekko po wodnej przestrzeni, żeśmy nie odczuwali jego poruszeń. — Oba zadrzewione wybrzeża szybko się przed nami przesuwały. Ciszę mącił tylko plusk fal, uderzających o boki statku i dźwięk dzwonków, które konie miały zawieszane na szyjach.

Sunęliśmy.

Pochylony nad brzegiem statku, przyglądałem się topolom, które korzeniami tkwiąc w ziemi, okrytej świeżą murawą, wybijały dumnie w górę.

Pogrążony byłcin w przyglądaniu się im, gdy naraż posłyszałem, że ktoś za mną wymawia me imię.

Odwrociłem się żywo. — Był to Artur, którego przyniesiono na desce. — Matka jego była przy nim.

— Czy spało ci się lepiej, niż na polu? — zapytał mnie Artur.

Przybliżyłem się i odpowiedziałem w uprzejmych słowach.

— A pieski? — zapytał.

Przywołałem je, a także i Żolisia. — Przybiegły, oddając pokłon powitalny, a Żoliś stroił pocieszne miny,

jakby się przygotowywał do przedstawienia, o którym jednak tego dnia nie było mowy.

Pani Milligan ułożyła syna w cieniu i usiadła przy nim.

— Odprowadź psy i małpkę, — rzekła, — musimy pracować.

Uczyliłem, czego żądała i oddaliłem się wraz z moją trupą.

Lecz jakąż pracę miał wykonywać ten biedny chory malec?

Widziałem zdala, że matka jego przesłuchiwała go lekcji, trzymając przed sobą książkę otwartą.

Wyciągnięty na desce, Artur powtarzał, nie czyniąc żadnego poruszenia.

— Nie umiesz zadanej bajki, — rzekła.

— O mamó! — odparł głosem zrozpaczonym.

— Robisz dziś więcej omyłek niż wczoraj.

— Staralem się nauczyć.

— Ale nie nauczyłeś się.

— Nie mogłem.

— Dlaczego?

— Nie wiem..., nie mogłem..., chory jestem.

— Nie jesteś chorym umysłowo. Nie pozwolę na to, abyś wymawiając się chorobą, wzrastał bez nauki.

— Zapewniam cię, mamó, że nie mogę, — odparł Artur i począł płakać.

Ale pani Milligan pozostała niewzruszoną, choć było widać, że łzy syna przykrość jej sprawiają.

— Chciałam pozwolić ci bawić się dziś zrana z Reunim i z pieskiem, — mówiła, — ale nie będziesz się prędkiej bawił, dopóki nie powtórzysz twej bajki bez błędu.

Mówiąc to, wręczyła książkę Arturowi i odeszła kilka kroków, aby wejść do wnętrza statku.

Artur łkał głośno.

Pani Milligan podeszła więc znów do syna.

— Czy chcesz, żebyśmy się razem uczyli? — zapytała.

Usiadłszy przy nim, wzięła książkę i głosem słodkim czytać poczęła bajkę, która była zatytułowaną: „Wilk i jagnię“. Artur powtarzał za nią słowa i zdania.

Przeczytawszy bajkę trzykrotnie, podała książkę Arturowi, mówiąc mu, aby się teraz sam uczył i oddaliła się w głąb statku.

Artur zabrał się zaraz do odczytywania bajki. Z miejsca, w którym stałem, widziałem dokładnie poruszenia jego warg.

Widocznem było, że uczył się pilnie. Ale nie trwało to długo. Wkrótce oderwał oczy od książki; wargi jego poruszały się coraz wolniej, aż wreszcie całkiem poruszać się przestały. — Już nie czytał i nie powtarzał.

Jego oczy, błądzące tu i tam, napotkały się z moimi.

Wtedy odezwał się do mnie:

— Nie mogę, a jednak chciałbym się nauczyć.

Przybliżyłem się.

— Ta bajka nie jest jednak trudną, — rzekłem.

— O tak, bardzo trudna!

— Mnie się wydaje łatwą. Słyszałem, jak ją twoja mamusia czytała i zdaje mi się, że ją spa miętałem.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Chcesz, to ci ją opowiem?

— To jest niemożliwem.

— O nie, to jest możliwem. Chcesz, to spróbuję, weź książkę.

Zacząłem opowiadać bajkę, przy której zaciąłem się tylko trzy czy cztery razy.

— Jakto, ty ją umiesz! — zawołał.

— Niezbyt dobrze, ale teraz sędzę, że przepowiem ją bez błędu.

— W jaki sposób nauczyłeś się jej?

— Słuchałem, jak twoja mamusia tę bajkę czytała, ale słuchałem z uwagą, nie rozglądając się naokół.

Zaczerwienił się i spuścił oczy ze wstydu. Po chwili zaś rzekł:

— Rozumiem już, jakżeś słuchał i starać się będę przysłuchiwać tak samo, jak ty. Ale w jaki sposób zatrzymałeś w pamięci te wszystkie słowa, które mi się mylą?

— O cóż chodzi w tej bajce? — rzekłem. O owieczkę. Zaczynam zatem myśleć o owcach. Następnie myślę o tem, co one czynią: „Owieczki były bezpieczne w swoim gaju“. Widzę owieczki w postawie leżącej, śpiące w gaju, ponieważ czują się bezpieczne, a zobaczywszy je, nie zapominam już o nich.

— O i ja je widzę, — rzekł. — Owieczki były bezpieczne w gaju. Widzę białe i czarne owieczki i jagniątko. Widzę nawet pastwisko wśród gaju.

— A więc nie zapomnisz tego?

— O nie!

— Kto zazwyczaj strzeże owieczek?

— Psy.

— A co robią psy, gdy nie potrzebują stróżować, ponieważ owieczki są bezpieczne?

— Nic nie robią.

— Wtedy mogą spać, więc powiedzmy: „psy spały!“

— Ach, jakie to łatwe!

— Nieprawdaż, że bardzo łatwe? A teraz przejdźmy do dalszego ciągu. Kto strzeże wraz z psami owieczek?

— Pasterz.

— Lecz gdy owieczki są bezpieczne, pasterz nie ma wtedy nic do czynienia. Czem może wtedy się zająć?

— Grać na fujarce.

— Czy widzisz go?

— Tak, stoi on w cieniu wielkiego klonu.

— Czy jest sam?

— Nie, jest on razem z innymi pasterzami z sąsiedztwa.

— Więc jeżeli widzisz owieczki, pastwisko, psy i pasterza, czyż nie możesz opowiedzieć bez omyłki początku bajki?

— Zdaje mi się, że tak.

— Spróbuj.

Słuchając mnie mówiącego i objaśniającego mu w jaki sposób mógłby się łatwo nauczyć zadania, które mu wydawało się trudnem, Artur patrzył na mnie ze wzruszeniem i z obawą, jakby nie był przekonany o prawdzie moich słów. Jednak po kilku sekundach namysłu zaczął opowiadać:

— Owieczki były bezpieczne w swym gaju. Psy spały, a pasterz w cieniu wielkiego klonu grał na fujarce z innymi pasterzami z sąsiedztwa.

I z radości klasnął w dłonie.

— Umiem bajkę, — zawołał, — nie pomyliłem się ani razu.

— Chcesz nauczyć się bajki do końca w ten sam sposób?

— Tak, z tobą razem nauczę się napewno. Ach, jaka mama będzie zadowolona!

I zabrał się do uczenia dalszego ciągu bajki.

W niespełna kwadrans umiał bajkę doskonale i właśnie powtarzał ją bez żadnej omyłki, gdy matka jego nadeszła nagle.

Z początku rozgniewała się, widząc nas razem, bo sądziła, że się tylko bawimy, ale Artur nie dał jej dojść do słowa.

— Umiem bajkę, — wołał — i to on mnie jej nauczył.

Pani Milligan spoglądała na mnie ze zdziwieniem i chciała zadać mi pytanie, lecz Artur bez wezwania zaczął opowiadać bajkę o wilku i jagniątku, a w głosie jego brzmiał triumf i radość, nie zająknął się też, ani nie omylił się ani razu.

W tym czasie przyglądałem się pani Milligan. Widziałem, jak jej piękna twarz rozjaśniła się uśmiechem. Zdawało mi się, że w oczach jej błysnęły łzy, lecz nie mogłem przekonać się, czy rzeczywiście płakała, bo w tej chwili pochyliła się nad swoim synem, ściskając go czule i biorąc w ramiona. Potem przybliżyła się do mnie i uściśnięła mi rękę tak tkliwie, że uczułem się wzruszonym do głębi.

— Jesteś dobrym chłopcem, — rzekła.

Opowiedziałem tu tak szczegółowo to małe wydarzenie, aby uczynić zrozumiałą zmianę, jaka od tego dnia nastąpiła w mojem położeniu. Wczoraj wzięto mnie dlatego, abym ja sam, moje pieski i moja małpka służyły do rozrywki chorego dziecka, lecz od dzisiejszej lekcji stałem się towarzyszem i przyjacielem Artura.

Gdy cofam się teraz myślą do dni, spędzonych na statku, obok pani Milligan i Artura, znajduję, że były to najmiłsze dni moich lat dziecięcych.

Artur powziął dla mnie gorącą przyjaźń, ja zaś idąc za popędem bezwiednego uczucia, uważałem go za brata. Wypływało to niezawodnie z równości wieku i z mej nieznajomości spraw życia; także przyczyniła się do tego wielce delikatność i dobroć pani Milligan, która często odzywała się do mnie tak, jakbym był jej dzieckiem.

Życie, jakie tu wiodłem, było nader miłe i szczęśliwe dla dziecka, które opuściwszy chatkę matki Barberin, wędrowało po gościńcach za synjorem Witalisem.

Co za różnica między miską kartofli ze solą mojej biednej karmicielki, a smaczными tortami owocowymi ze śmietaną, galaretami, kremami i pasztecikami kucharki pani Milligan!

Jakaż różnica między długimi marszami na piechotę, po błocie, wśród deszczu, lub w upale, za moim mistrzem, a tą przejażdżką na statku!

Lecz muszę oddać sobie tę sprawiedliwość, że wrażliwszym byłem na szczęście moralne, jakie znajdowałem w tem nowem życiu, niż na rozkosze materialne, jakich doznawałem.

Ileż to razy patrząc na Artura, leżącego na desce, bladego i cierpiącego, zazdrościłem mu jego szczęścia, ja, pełen sił i zdrowia.

Nie zazdrościłem mu jednak bogactwa, jakie go otaczało, ani statku, lecz miłości, jaką mu okazywała jego matka.

Jak on musiał czuć się szczęśliwym, będąc tak kochanym i dziesięć, dwadzieścia razy na dzień w objęciach tulonym przez tę piękną damę, jego matkę, którą mógł także uściskać każdej chwili z całego serca w czasie, gdy ją zaledwie śmiałem dotknąć się dłoni, którą mi podawała.

I wtedy mówiłem sobie ze smutkiem, że nigdy nie będę miał matki, któraby mnie uściskała, i którą nawzajem mógłbym uściskać. Może być, że kiedykolwiek zobaczę matkę Barberin i sprawi mi to wielką radość, ale nie będę mógł już na nią wołać „mamo“, ponieważ ona nie jest moją matką.

Sam, zawsze będę sam!

I odczuwałem tem większą radość, gdy pani Milligan i Artur obchodzili się ze mną czule. Lecz choć tak miłym wydawał mi się mój nowy tryb życia, należało mi go przerwać niebawem, by powrócić do dawnych wędrówek.

XII.

Znajda.

Czas uchodził szybko podczas tej podróży. Zbliżała się chwila, w której mistrz mój miał opuścić więzienie. — Im więcej oddalaliśmy się od Tuluzy, tem więcej myśla mnie dręczyła.

Pewnego dnia wreszcie postanowiłem pomówić o tem z panią Milligan i zapytałem ją, ile czasu mi potrzeba na powrót do Tuluzy, gdyż chciałem u drzwi więzienia oczekiwać mego mistrza w chwili, gdy on takowe przekroczy.

Artur posłyszawszy, że mówię o odjeździe, począł krzyczeć:

— Nie chcę, żeby Remi odjechał!

Odpowiedziałem, że nie rozporządzam sam sobą, lecz należę do mego mistrza, któremu mnie moi rodzice

wynajęli i u którego muszę podjąć służbę nanowo w dniu, w którym on mnie potrzebować będzie.

Mówiłem o moich rodzicach, nie wspomniawszy, że oni nie byli istotnie moimi rodzicielami, gdyż nie chciałem się przyznać, że byłem dzieckiem znalezionem czyli „znajdą”. Wydawało mi się to hańbą i nie mogłem się zdecydować do mówienia o tem; tak wielce nad tem cierpiałem od czasu, gdy zacząłem sobie zdawać sprawę z moich uczuć i z pogardy, jaką widziałem, że okazywano przy każdej sposobności dzieciom z przytułku, znajdom!

— Mamusiu, przecież trzeba go koniecznie zatrzymać, — mówił Artur, który poza lekcjami robił wszystko, co chciał, ze swą matką.

— Byłabym bardzo szczęśliwą, gdyby Remi u nas pozostał, — odparła pani Milligan, — ty go uważasz za przyjaciela i ja sama przywiązałam się wielce do niego, lecz chcąc go u nas zatrzymać, trzeba wpierw spełnić dwa warunki, które ani odemnie ani od ciebie nie zależą. Pierwszym warunkiem jest to, czy Remi chce pozostać z nami...

— Ach! Remi zechce chętnie, — przerwał Artur, — nieprawdaż Remi, że nie powrócisz do Tuluzy?

— Drugim warunkiem, — mówiła dalej pani Milligan, nie czekając na moją odpowiedź, — jest to, aby mistrz jego zrzekł się praw swoich, jakie ma do niego.

— Zanim Remi mi odpowie, niechaj się wpierw zastanowi nad tem, że prowadzić będzie przy nas życie wypełnione nie tylko przyjemnościami i spacerami, ale i pracą, że będzie musiał uczyć się i ślęczyć nad książkami wraz z Arturem. Niechaj to dobrze rozważy sobie i porówna ze swobodą wolnego życia na gościńcach.

— Nie potrzebuję rozważać, — rzekłem — i zapewniam panią, że odczuwam w całej pełni wartość pańskiej propozycji.

— Widzisz, mamusiu, — zawołał Artur, — że Remi godzi się na to.

— Wpierw jeszcze musimy otrzymać zezwolenie jego mistrza, — mówiła dalej pani Milligan. — Napiszę do niego, aby przybył do nas do miasta Set¹⁾, gdyż nie możemy powracać do Tuluzy. Poślę mu pieniądze na podróż i wyjaśnię mu, dlaczego my nie możemy przybyć koleją do niego. Sądzę że przybędzie na moje zaprosiny. Jeżeli przyjmie on moją propozycję, to wtedy będę musiała porozumieć się jeszcze z rodzicami Remiego, gdyż ich także trzeba się koniecznie zapytać.

Aż dotąd cała ta rozmowa toczyła się podług mego życzenia, ale ostatnie słowa pani Milligan straciły mnie nagle z krainy marzeń, w której bujałem, do smutnej rzeczywistości.

Zapytać moich rodziców! Ależ bezwątpienia powiedzą oni wtedy wszystko, co pragnąłem, aby pozostało w ukryciu. Prawda wyjdzie na jaw. Znajda! Wtedy ani Artur, ani pani Milligan nie będą mnie chcieli. Przyjaźń, jaką mi okazywali, zniknie. Nawet moje wspomnienie będzie im przykrem. Artur bawił się ze znajdą, uważał go za swego towarzysza, za swego przyjaciela, prawie za brata.

Czułem się przygnębionym.

Była to pierwsza zła noc na pokładzie „Łabędzia“, niewymownie zła, długa, noc, którą spędziłem w podnieceniu gorączkowym. Cóż uczynić? Cóż powiedzieć? Nie mogłem nic wymyśleć.

I po sto razy powziawszy i porzuciwszy znów jedną i tę samą myśl i najsprzeczniesze postanowienia, ostatecznie zdecydowałem się nic nie czynić i nic nie mówić. Niech sprawy toczą się swoim biegiem. Przyjmę, co los zrządzi.

Być może, że Witalis nie zechce mnie odstąpić, a wtedy nikt się prawdy nie dowie. — I tak się tej prawdy okropnej dla mnie obawiałem, że pragnąłem nawet, aby Witalis nie przyjął propozycji pani Milligan.

1) Pisze się właściwie: Cette.

W trzy dni potem odebrała pani Milligan odpowiedź na list swój do mego mistrza, który w kilku rzędkach pisał, że będzie uważał sobie za zaszczyt przybyć na zaproszenie pani Milligan i że stawi się w Set w przyszłą sobotę o drugiej po południu.

Prosiłem panią Milligan, by mi pozwoliła iść na dworzec i wzięwszy z sobą psy i Żolisia, oczekiwałem przybycia naszego mistrza.

Psy, które węchem poczuły swego pana, oznajmiły mi nadejście pociągu.

Wyrwały mi się nagle i biegły, poszczekując radośnie i prawie równocześnie ujrzałem Witalisa, którego obskakiwały i który miał na sobie swe zwykłe ubranie. Szybszy, choć nie tak zwinny, jak jego towarzysze, skoczył Kapi na ramiona swego mistrza w czasie, gdy Zerbino i Psinka tuliły się do jego nóg.

Teraz przyszła na mnie kolej i Witalis stawiając Kapię na ziemi, chwycił mnie w objęcia. Po raz pierwszy uściśkał mnie, powtarzając wielokrotnie:

— Dobry chłopcze, biedny, kochany!

Mój mistrz nigdy nie był srogim wobec mnie, ale też nigdy mnie nie pieścił. Nie byłem przyzwyczajony do jego czułości, więc wzruszyło mnie to i łzy napłynęły mi do oczu.

Przyjrzałem mu się bliżej i dostrzegłem, że zestarzał się bardzo w więzieniu. Postać jego pochyliła się; twarz i wargi pobladyły.

— Ach, zauważyłeś, że się zmienił, nieprawdaż chłopcze? — rzekł, — więzienie jest złym miejscem pobytu, a nudy niegodziwą chorobą, ale to się zmieni teraz na lepsze.

Potem zmieniając temat rozmowy, zapytał:

— Gdzie poznałeś tę damę, która do mnie pisała?

Wtedy opowiedziałem mu, jak napotkałem „Łabędzia“ i jak od tej chwili żyłem przy pani Milligan i jej synie, oraz wszystko, cośmy widzieli i cośmy porabiali.

— I ta dama oczekuje mnie? — zapytał, gdyśmy wchodzili do hotelu.

— Tak, zaprowadzę pana do jej pokoju.

— To niepotrzebne, powiedz mi tylko numer jej pokoju i pozostań tu z psami i z Żolisiem, czekając na mnie.

Dlaczego nie chciał, abym był obecnym przy jego rozmowie z panią Milligan? Zadawałem sobie to pytanie, nie znajdując na nie odpowiedzi.

Lecz wkrótce ujrzałem powracającego Witalisa.

— Idź pożegnać się z tą panią, — rzekł, — ja tu zaczekam na ciebie; odjeżdżamy za dziesięć minut.

Byłem zmiażdżony; lecz wstałem, aby usłuchać go machinalnie, nie rozumiejąc, co się ze mną dzieje.

Wchodząc do apartamentu pani Milligan, zastałem Artura zalanego łzami, a ją pochyloną nad nim i pocieszającą go.

— Remi, ty przecież nie odjedziesz? — zawołał Artur.

Na to nie ja, lecz pani Milligan odpowiedziała, tłumacząc, że muszę być posłusznym.

— Prosiłam twego mistrza, by cię u nas pozostawił, — mówiła mi głosem, na którego brzmienie łzy mi do ocz napłynęły, — ale w żaden sposób nie chciał na to przystać.

— To niegodziwy człowiek, — zawołał Artur.

— Nie, to nie jest bynajmniej niegodziwy człowiek, lecz Remi jest mu użyteczny, a przytem on ma dla niego prawdziwe przywiązanie. Ze słów jego poznałam, że to jest uczciwy człowiek, który stoi wyżej ponad swój stan. Usprawiedliwiając swą odmowę, odpowiedział mi: „Kocham to dziecko, które mnie także kocha. Ciężka nauka doświadczenia życiowego, jaką będzie u mnie przechodził, będzie dla niego pożyteczniejszą, niż służebna zależność, w jakiej żyłby przy was. Pani dałabyś mu naukę, edukację, to prawda. Kształciłabyś jego umysł ale nie jego charakter. Synem pani on być nie może, ale za to dla mnie będzie on synem, a to coś wię-

cej znaczy, niż być zabawką chorego dziecka, choćby tak łagodnego i miłego, jak pani synek. Ja go także wychowam i będę go kształcił“.

— Ale ja nie chcę, aby Remi odjeżdżał, — wołał Artur.

— A jednak on musi iść za swoim mistrzem, choć myślę, że tylko na krótki czas. Napiszę do jego rodziców i porozumiem się z nimi.

— O nie! — zawołałem.

— Dlaczegoż nie?

— O nie, błagam panią.

— Lecz ten jedyny sposób nam tylko pozostaje, moje dziecko. Wszakżeż w Szawanon¹⁾ mieszkają twoi rodzice?

Nie odpowiedziałem jej, lecz przybliżywszy się do Artura, chwyciłem go w ramiona, ściskając go wielokrotnie i kładąc w te uściski całą przyjaźń braterską, jaką dla niego odczuwałem. Następnie wyrwałem się z jego słabych objęć i podchodząc do pani Milligan, rzuciłem się przed nią na kolana i całowałem jej rękę.

— Biedne dziecko, — rzekła, schylając się nademną i całując mnie w czoło.

Powstałem prędko i biegnąc do drzwi, mówiłem głosem łkaniem przerywanym: Arturze, zawsze kochać cię będę, a o tobie, pani, nie zapomnę nigdy!

— Remi, Remi, — wołał Artur za mną.

Lecz już nie słuchałem. Wyszedłem, zamykając drzwi za sobą.

W minutę potem byłem już sam na sam z moim mistrzem.

— W drogę! — zakomenderował.

W ten sposób opuściłem mego pierwszego przyjaciela i doznałem potem wiele złych przygód, których byłbym uniknął, gdyby nienawistny przesąd i wstyd fał-

¹⁾ Pisze się właściwie. Chavannon.

szywy nie były mi przeszkodziły w przyznaniu się do tego, że byłem dzieckiem znalezionem, „znajdą”.

XIII.

Zawieja śnieżna i wilki.

Na nowo musiałem kroki moje stosować do kroków mego mistrza i przewiazaną na rzemieniu harfę dźwigać na mojem obolałem ramieniu, wędrując gościńcami czy to wśród słoty, czy podczas upału, w kurzawie, czy też po błocie.

Celem naszej podróży był Paryż, gdzie mogliśmy przez całą zimę dawać przedstawienia i dokąd mistrz mój chciał przybyć jak najprędzej.

Lecz czy to dla braku funduszu, czy też dla innej przyczyny, odbywaliśmy tę daleką podróż na piechotę.

Aż do Szatillon¹⁾ szło nam jako tako, choć zimno i wilgoć dawały się nam we znaki ale gdyśmy opuścili to miasto, począł dąć wiatr północny. Niebo pokryło się ciemnymi chmurami, zwiastującemi, że śnieg niebawem padać zacznie. Doszliśmy jednak jeszcze do pobliskiej wsi, nim się rozpadało.

Nazajutrz wstaliśmy dodnia. Jeszcze nie świtało; niebo było tak pochmurne, że wydawało się, jakoby wielka, ciemna zasłona opuszczała się nad ziemią i chciała ją przytłoczyć. Gdyśmy uchylili drzwi, ostry prąd wiatru zahuczał w kominie i zatlił iskry, które wczoraj wieczorem przygasaly pod popiołem.

— Na waszem miejscu, — rzekł oberżysta, zwracając się do mego mistrza, — nie ruszyłbym w drogę.

— Zanosi się na śnieżycę.

— Spieszno mi, — odpowiedział Witalis — i mam nadzieję, że przybędę do najbliższego miasta, nim śnieg się rozpada.

¹⁾ Pisze się właściwie: Chatillon.

— Trzydziestu kilometrów nie przebędzie się w przeciągu godziny.

Jednakże wyruszyliśmy.

Uszliśmy za ledwie kawałek drogi, a już widocznem było, że nie dojdziemy do najbliższej miejscowości przed śnieżycą. To mnie zresztą wcale nie zaniepokoiło i sądziłem, że gdy śnieg padać zacznie, to wtedy złagodnieje wiatr północny i przenikliwe zimno. Lecz nie wiedziałem jeszcze, co to znaczy zawieja śnieżna. Niebawem przekonałem się o tem, i to w sposób tak dotkliwy, że nigdy tego nie zapomnę.

— Nie dojdziemy już do miasta Troa¹⁾, — rzekł Witalis, — trzeba nam schronić się do pierwszego lepszego domu, jaki napotkamy.

W chwilę potem śnieg pokrywał już drogę i wszystko naokół: stopy kamieni, rośliny, krzewy i rowy, a wicher, który dał coraz silniej, unosząc pyły śnieżne, tworzył zaspę.

Brnęliśmy jednak dalej w milczeniu pod wiatr i w śniegu.

Od czasu do czasu odwracaliśmy się na bok, by tchu załapać.

Naraz spostrzegłem, że Witalis wyciągnął rękę na lewo, jakby chciał zwrócić na coś moją uwagę. Spojrzałem i zdawało mi się, że dojrzałem choć niedokładnie szałas z gałęzi na polance leśnej.

Przeszliśmy przez rów i niebawem doszliśmy do tego szałasu, zbudowanego z chrustu, ponad którym gałęzie poukładane były w kształcie dachu dość gęstego, by śnieg wewnątrz nie przepadywał.

To schronienie mogło nam dom zastąpić.

Szałas nie miał ani okien, ani drzwi, tylko otwór, przez który się wsunęliśmy, otrząsając ze śniegu nasze ubrania i kapelusze, aby nie zmoczyć wnętrza naszego skromnego schroniska, którego całe urządzenie składało

1) Pisz się po francusku: Troyes.

się z ławki usypanej z ziemi i kilku wielkich kamieni, na których można było usiąść. Największe jednak znaczenie w okolicznościach, w jakich się znajdowaliśmy, miało dla nas to, że w kącie znajdował się rodzaj kominika z cegieł, na którym można było ogień nanieść.

W takim domku, jak ten, nie było trudno o drzewo na podpał; ze ścian i z dachu wyciągło się cokolwiek chrustu i gałęzi tak jednak, aby nie uszkodzić chroniącego nas przed śnieżycą domku.

Wnet jasny płomień ognia zabłysnął, trzaskając radośnie na naszym kominku.

Nasz mistrz był przeczornym i doświadczoneym. Rano, zanim jeszcze wstałem, zaopatrzył się w żywność na drogę, to jest w bochen chleba i w kawałek sera. Chwila nie była odpowiednią po temu, by stawiać wybredne żądania; to też z uczuciem żywego zadowolenia spoglądaliśmy na bochen. Niestety wydzielone nam kawałki nie były zbyt wielkimi. Uczułem się zawiedzionym w mojem oczekiwaniu. Zamiast całego bochenka metr rozdzielił tylko połowę pomiędzy nas.

— Nie znam drogi, — mówił, odpowiadając na me pytające spojrzenia — i nie wiem, czy napotkamy po drodze oberżę, w której moglibyśmy sobie kupić co do jedzenia. Nie znam także tego lasu.

Ten skromny i skąpy posiłek wzmocnił nas jednak. Mieliśmy schronienie, w którym płomień ognia nas mile ogrzewał i w którym mogliśmy przeczekać, aż śnieg przestanie padać.

Pieski wykorzystały ten przymuszony wypoczynek i położywszy się w bliskości ognia, zasnęły smacznie.

Przyszło mi na myśl, by tak uczynić, jak one. Wstałem dodnia, a przyjemniej było podróżować w krainie snów, może na „Łabędzieu“ niż patrzeć na zawieję śnieżną.

Nie wiem, jak długo spałem; lecz gdy się obudziłem, śnieg przestał już padać. Wyrzałem na dwór; —

przed wejściem do naszego szałasus utworzyła się zaspasnieżna, sięgająca mi poza kolana.

Gdym stał tak w wejściu, olśniony widokiem, jakis rozciągał się przed memi oczyma, posłyszałem, że mój mistrz na mnie woła.

— Czy masz ochotę iść dalej w drogę?

— Nie, nie mam, lecz uczynię, co pan zechce.

— A więc jestem tego zdania, by tu pozostać, gdzie przynajmniej mamy schronienie i ogień.

Pomyślałem, że mamy tylko bardzo mało chlebas, ale myśl moją zachowałem dla siebie.

Trzeba było przyciągnąć pasek w naszym szałasie, otóż wszystko.

Śnieg począł znów padać, i padał ciągle, bezustannie, tworząc zwolna puszysty kobierzec, wznoszący się od ziemi aż do wysokości młodych krzewów, tylko czubkis gałęzi sterczały jeszcze ze śnieżnej powodzi, która miała je też niebawem pochłonać.

Nadeszła noc, a śnieg nie przestawał padać.

Z ciemnego nieba sypały się istne tumany śniegu na lśniącą białą ziemię.

— Śpij, — rzekł do mnie Witalis, — obudzę cię, gdy sam z kolei będę chciał zasnąć, gdyż choć w tem schroniskus nie potrzebujemy obawiać się ani zwierząt, ani ludzi, to jednak jeden z nas czuwać musi, by podsycać ogień, gdyż zimno może stać się dokuczliwem, gdy śnieg przestanie padać.

Nie dałem sobie tego dwa razy powtarzać i zasnąłem.

Gdy mój mistrz mnie obudził, była już późna noc; przynajmniej tak mi się wydawało. Śnieg już nie padał, a nasz ogień wciąż płonął.

— Teraz kolej na ciebie, — rzekł Witalis, — od czasu do czasu dołóż na kominek drzewa, którego dosyć już dla ciebie przyszykowałem.

Widząc, że się na dobre rozbudziłem i zabieram się do stróżowania, wyciągnął się przed ogniem, poło-

żywszy przy sobie Żolisia, zawiniętego w derkę. Wkrótce jego przyspieszony, miarowy oddech przekonał mnie o tem, że zasnął głęboko.

Śnieg pokrył wszystko: rośliny, krzewy, drzewa. Tak daleko, jak okiem można było sięgnąć, rozciągał się jakby obrus nierówno ułożony, lecz jednostajnie biały. Wreszcie zbliżyłem się do ognia i dołożywszy trzy czy cztery kawałki drzewa na krzyż, jeden nad drugim, przysiadłem na kamieniu, który mi służył za poduszkę.

Dosyć długo zabawiałem się przyglądaniem się iskrom ogniowym, lecz zwolna znużenie ogarniać mnie poczęło, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Gdybym się był musiał zająć przyspasabianiem drzewa, to chodząc po szałasie, byłbym się roztrzeźwił, ale siedząc i nie mając nic do czynienia prócz dokładania od czasu do czasu gałęzi na ogień, dałem się opanować senności i nie wiedząc o tem, zasnąłem.

Nagle zbudziło mnie wściekłe ujadanie. — Była zupełna noc. Zapewne spałem długo i ogień tlił się zaledwie, nie rozświecając nawet szałas. Kapi rzucił się ku drzwiom, ale nie wyszedł, tylko ujadął przed wejściem.

Na jego szczekanie odpowiedziało dwu czy trzykrotne żalosne skomlenie, w którym rozpoznałem głos Psinki. To skomlenie dochodziło z poza szałas i z niezbyt wielkiej odległości.

Chciałem wyjść, lecz mistrz zatrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

— Dołóż najpierw drzewa na ogień, — rozkazał mi.

Gdym to spełnił, wyciągnął z ognia tłącą szczepę drzewną, na którą dmuchał, aby się całkiem rozżarzyła. Myślałem, że ją odrzuci napowrót w ogień, ale zatrzymał ją w ręku.

— Chodźmy teraz, — rzekł, — ty idź za mną, a Kapi na przodzie.

Ale w chwili, gdyśmy wychodzić mieli, okropne skomlenie rozległo się w ciszy nocnej, a Kapi przestraszony, rzucił się nam pod nogi.

— To wilki, gdzież jest Zerbino i Psinka?

Na to nie umiałem dać odpowiedzi. Bez wątpienia oba pieski wyszły z szalasu w czasie, gdym zasnął; Zerbino spełniając zachciankę, Psinka dążąc za swym towarzyszem.

— Weź także płonące drewno, — rzekł mistrz do mnie — i chodźmy im na pomoc.

Nasłuchiwałem się na wsi okropnych opowiadań o wilkach, lecz nie wahałem się, uzbroiłem się w szczapę i dążyłem za moim panem.

Lecz wyszedłszy na polankę, nie spostrzegliśmy nigdzie ni psów, ni wilków.

— Szukaj, szukaj, Kapi, — mówił mistrz, gwizdając równocześnie, aby przywołać Zerbina i Psinkę.

Ale na to gwizdanie nie odpowiadały poszczekiwaniem. Żaden odgłos nie mącił ponurej ciszy lasu; a Kapi, który zawsze był taki posłuszny i odważny, zamiast szukać podług nakazu, krył się za naszymi nogami, dając oznaki niepokoju i przestachu.

Nanowo zagwizdał Witalis, wołając głośno Zerbina i Psinkę.

Nadśłuchiwaaliśmy, ale i nadal nic ciszy nie mąciło. Ścisnęło mi się serce. Biedny Zerbino, biedna Psinka. Witalis dał wyraz moim obawom.

— Wilki musiały je porwać, — rzekł, — dlaczego pozwoliłeś wyjść pieskom?

Ach, tak, dlaczego? Nie znalazłem odpowiedzi.

Mistrz mój skierował się ku szalasowi. Szedłem za nim, przystając co krok, by rozejrzeć się i nadśłuchiwać. Ale wokół tylko biel śnieżną widać było i słyszeć tylko było skrzyp śniegu pod naszymi stopami.

W szalasie czekała nas nowa niespodzianka.

W czasie naszej nieobecności zapalił się stos gałęzi, nagromadzony przed kominkiem i, płonąc, oświecał najciemniejsze kąty szałas.

Nie spostrzegłem nigdzie Żolisia.

Derka jego leżała przed ogniem, lecz małpka gdzieś się zapodziała.

Wołaliśmy na Żolisia, ale nie pokazał się.

Witalis powiedział mi, że obudziwszy się, poczuł go przy sobie, mógł zatem wtedy dopiero zginać, gdy wyszliśmy.

Z płonącymi szczapami wyszliśmy znów, pochyleni naprzód, szukając śladów Żolisia na śniegu.

Nie znaleźliśmy ich.

Wróciliśmy do szałas, aby zobaczyć, czy się nie wcisnął gdzie między chrust.

Nasze poszukiwanie trwało długo. Po dziesięć razy przeszukaliśmy każde miejsce, każdy kącik. Wszedłem na ramiona Witalisa, aby przepatrzyć gałęzie, tworzące nasz dach; — wszystko nadaremno.

Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się, aby wołać na niego. Nic, ciągle nic.

Witalis i ja byliśmy zrozpaczeni.

Zapytałem mistrza, czy nie przypuszcza czasem, że wilki porwały także Żolisia.

— Nie, — odrzekł, — wilki nie odważyły się wejść do szałas. Sądzę, że rzuciły się na Zerbina i Psinkę, gdy te wyszły. Prawdopodobnie Żoliś przestraszony schował się gdzie w czasie, gdy byliśmy na dworze i to mnie niepokoi, gdyż przy tem okropnem powietrzu zaziębi się, a zaziębienie będzie dla niego śmiertelnem.

— A więc szukajmy jeszcze.

Nanowo rozpoczęliśmy nasze poszukiwania, które jednak nie wypadły szczęśliwiej niż za pierwszym razem.

— Musimy poczekać do rana, — rzekł Witalis.

Zaledwie się cokolwiek rozwidniło, wyszliśmy z szałas. Witalis uzbroił się w mocny kij, ja wziąłem podobny.

Szukaliśmy na ziemi śladów Żolisia; lecz Kapi wzniósł lebek w górę, poszczekując radośnie. Było to oznaką, że trzeba szukać w powietrzu, a nie na ziemi.

W istocie spostrzegliśmy, że śnieg, który okrywał nasz szałas, był porozrzucanym aż do wysokości wielkiej gałęzi dębowej, zwieszającej się ponad naszym dachem.

Patrząc w górę, dostrzegliśmy u wierzchołka dębu małą ciemną postać, skuloną wśród gałęzi.

Był to Żoliś, który przestraszony skomleniem piesków i wyciem wilków, wysunął się wtedy, kiedy wyszliśmy, na dach naszego szałasu, a stamtąd na dąb, gdzie czując się bezpiecznym, siedział skulony, nie odpowiadając na nasze wołania.

Biedne, małe stworzonko, tak wrażliwe na zimno, musiało być całkiem przemarznięte.

Mój mistrz wołał łagodnie na Żolisia, który się jednak wcale nie poruszył, jak gdyby już nie żył.

Przez przeciąg kilku minut Witalis powtarzał swe nawoływania, lecz Żoliś wciąż nie dawał znaku życia. Należało mi naprawić moje niedbalstwo nocne.

— Jeżeli pan sobie życzy, wejdę na drzewo po niego.

— Skręcisz sobie jeszcze kark.

— Tu niema niebezpieczeństwa.

Już od dziecięcych lat umiałem skrabac się po drzewach i nabyłem w tem znacznej wprawy.

Wskrabując się, odzywałem się łagodnie do Żolisia, który nie poruszał się wcale, lecz przyglądał mi się swemi jarzącymi oczkami.

Już dochodziłem do niego i wyciągnąłem rękę, by go pochwycić, gdy naraz jednym susem skoczył na inną gałąź.

Skrabalem się za nim po tej gałęzi, ale ludzie, a nawet uliczniki nie dorównują małpkom w sztuce skrabania się po drzewach.

Prawdopodobnie nie byłbym go też wcale pochwycił, gdyby nie pokrywający gałęzie drzewa śnieg, który

mu moczył łapki i go ziębił. Wkrótce Żoliś uczuł się znużonym. Zeskakując z jednej gałęzi na drugą coraz niżej, skoczył wreszcie jednym susem na ramiona Witalisa i ukrył się pod jego kamizelkę.

Odnaleźć Żolisia znaczyło to wiele, lecz teraz trzeba go było rozgrzać.

Wróciliśmy do szałasu i Witalis ogrzewał mu łapki przed ogniem tak, jak się to robi z małemi dziećmi, ja zaś ogrzałem jego derkę, w którą go potem zawinęliśmy.

Lecz to nie wystarczało. Przydałoby się jeszcze wygrzane łóżeczko, a nadewszystko jaki ciepły napój na rozgrzewkę, lecz nie mieliśmy nic z tego, szczęśliwi, że mamy choć ogień.

Zasiedliśmy teraz obaj przed kominkiem, patrząc w milczeniu na płonący ogień.

— Biedny Zerbino, biedna Psinka, biedni przyjaciele!

To były jedyne słowa, jakie się nam mimowoli z ust wyrывały i myśli nasze zapełniały.

Stworzonka te były naszymi towarzyszami w doli i niedoli, a dla mnie w dniach smutku i samotności były prócz tego przyjaciółmi i jakby mojem i dziećmi.

Nie mogłem się uniewinnić. Gdybym był czuwał, jak to było moją powinnością, gdybym nie był zasnął, pieski nie byłyby wyszły z szałas, do którego nie byłyby się przybliżyły wilki, odstraszane blaskiem płonącego ognia.

Byłbym chciał, aby Witalis krzyczał na mnie, aby mnie bił.

Ale on nic nie mówił, nie spojrzał nawet na mnie. Siedział z głową opuszczoną ponad ogniskiem. Niezawodnie rozmyślał, co teraz bez psów pocniemy.

XIV.

Pan Żoliś.

— Trzeba nam dojść do jakiej wsi, — rzekł Witalis, wstając, — bo tu zemrze nam Żoliś. Chodźmy.

Owinęliśmy szczelnie Żolisia w dobrze wygrzaną derkę i mój mistrz umieścił go pod swą kamizelką na swych piersiach.

Byliśmy gotowi.

— Drogo opłaciliśmy gościnność tego schroniska, — rzekł Witalis głosem drżącym.

W dziesięć minut potem byliśmy już na gościńcu, gdzie rozminęliśmy się z jakimś powozem, którego woźnica objaśnił nas, że mamy niespełna milę drogi do najbliższej wsi.

To przyspieszyło nasze kroki, choć doprawdy trudno i przykro było brodzić w tym śniegu, który mi sięgał do połowy ciała.

Wreszcie na stoku wzgórza dostrzegliśmy białe dachy wielkiej wsi. Jeszcze jeden wysiłek i stanęliśmy u celu.

Nie było naszym zwyczajem wstępować do najlepszych oberż, ale tym razem było inaczej. Zamiast zatrzymać się przy wejściu do wsi, Witalis szedł aż do oberży, przed którą wisiał szyld pozłacany. Przybrawszy minę wielkiego pana, wszedł mistrz mój do kuchni i zatrzymując kapelusz na głowie, zażądał lepszego, dobrze ogrzanego pokoju.

Nasamprzód oberżysta, który miał wspaniałą postawę, ledwie raczył na nas wejrzeć, lecz zaimponowały mu pańskie miny mego mistrza i dał służącej rozkaz, aby nas zaprowadziła do żadanego pokoju.

— Prędko, połóż się do łóżka, — rzekł do mnie Witalis w czasie, gdy służąca rozpałała ogień w piecu.

Stałem przez chwilę w zdumieniu, dlaczego mam się kłaść do łóżka? Chętniej byłbym zasiadł przy stole.

— Spiesz się, — naglił Witalis.

Usłuchałem.

Na łóżku leżała pierzyna, którą Witalis okrył mnie aż pod brodę.

— Staraj się zagrzać, — rzekł mi, — im bardziej się zagrzejesz, tem lepiej.

Zdawało mi się, że Żoliś bardziej potrzebował ciepła, niż ja, gdyż nie było mi wcale zimno.

— Czy jest ci już gorąco? — zapytał mnie Witalis po pewnym czasie.

— Duszę się wprost z gorąca.

— Tego też właśnie potrzeba, — rzekł, — kładąc Żolisia w moje łóżko i polecając mi, abym go trzymał przyciśniętego do siebie.

Biedne, małe stworzonko, które było tak opornem, gdy chciano z nim zrobić coś, co mu się nie podobało, obecnie obojętnem było na wszystko.

Mój mistrz poszedł do kuchni, skąd wrócił wkrótce, niosąc szklanke grzanego wina z cukrem.

Chciał dać do wypicia kilka łyżeczek tego napoju Żolisiowi, ale ten nie mógł nawet rozewrzeć swych zębów.

Swemi lśnjącymi oczkami patrzył na nas smutno, jakby z niemą prośbą, aby go nie dręczyć.

Widocznem było, że biedny Żoliś był chorym i to bardzo chorym, skoro nie chciał nawet pić słodzonego wina, które tak bardzo lubił.

— Wypij ty wino, — rzekł do mnie Witalis — i zostań w łóżku, ja pójdę po doktora.

Mistrz mój nigdy nie mówił mi o swoim położeniu materialnem i tylko przypadkiem dowiedziałem się, że musiał sprzedać swój zegarek, aby mi kupić kożuszek; ale w obecnych ciężkich warunkach, jakie przechodziliśmy, uczynił wyjątek pod tym względem.

Pewnego ranka powracając ze śniadania w czasie, gdy ja byłem przy Żolisiu, którego nie można było samego zostawić, Witalis powiedział mi, że oberżysta zażądał zapłaty za to, cośmy mu byli winni. Po uiszczeniu zapłaty pozostawało mistrzowi tylko piętnaście groszy.

Metr mój nie widział przed sobą innego sposobu wyjścia jak dać przedstawienie jeszcze tego samego wieczoru.

Przedstawienie bez Zerbina, bez Psinki, bez Żolisia. Zdawało mi się to niemożliwem.

W czasie, gdy doglądałem naszego chorego, Witalis wyszukał salę odpowiednią na przedstawienie, którego nie można było dawać na wolnem powietrzu z powodu zimna, jakie dokuczało, — ułożył i przymocował afisze, urządził scenę z kilku desek i wydał swe piętnaście groszy na kupno świec, które poprzekrawał na połowy, aby mieć więcej światła.

Nadchodziła godzina przedstawienia. Dołożyłem wielkie kawały drew na ogień, aby długo płonęły i owinałem troskliwie w derkę biednego, małego Żolisia, który płakał rzewnymi łzami i ścisnął mnie gorąco; poczem odeszliśmy.

Trzeba było zebrać choć czterdzieści franków.

Ja pierwszy wystąpiłem na scenę, śpiewając dwie piosenki przy akompaniamencie harfy, ale słabe tylko zebrałem oklaski.

Kapi był szczęśliwszym. — Oklaskiwano gorąco jego sztuczki.

Odbył się dalszy ciąg przedstawienia, które dzięki Kapiemu udało się doskonale. Nietylko bito brawa rękami, ale przytupywano z zadowolenia nogami.

Nadeszła chwila rozstrzygająca. W czasie, gdy podług muzyki Witalisa wykonywałem na scenie taniec hiszpański, Kapi ze skarbonką w pyszczku obiegał rzędy widzów. Wreszcie przybiegł do nas i chciałem już przystanąć, gdy Witalis dał mi znak, abym tańczył dalej.

Tańcząc, przybliżyłem się do Kapiego i spostrzegłem, że skarbonka nie była pełną, niewiele tylko mogło się w niej mieścić.

Witalis ocenił też już plon zebrany i odezwał się do publiczności w te słowa:

— Wprawdzie wykonaliśmy już nasz program i nie pochlebiając sobie, sędzę, że nawet dobrze, ale świeczki nie wypaliły się jeszcze, więc jeżeli szanowna publiczność pozwoli, to zaśpiewam kilka piosenek.

Chociaż Witalis był moim nauczycielem śpiewu, nie słyszałem go jednak nigdy dotychczas tak śpiewającego, jak tego wieczoru.

Wybrał dwie, ogólnie znane piosenki, których ja jeszcze wtenczas nie znałem.

Po odśpiewaniu pierwszej pieśni, Kapi rozpoczął znów swą kwestę i ze zdziwieniem spostrzegłem, że pewna piękna dama nic nie wrzuciła do skarbonki.

Gdy mistrz mój zakończył drugą arię, uczyniła mi znak ręką, abym się do niej przybliżył.

— Chciałabym pomówić z twoim mistrzem, — rzekła do mnie.

— Czego ta dama chce odemnie? — zapytał Witalis.

— Rozmówić się z panem.

— Nie mam jej nic do powiedzenia.

— Ona nie dała nic Kapiemu, może chce mu teraz co dać.

— A więc to Kapi powinien do niej iść, a nie ja, — rzekł metr.

Poszedł jednak, zabierając ze sobą Kapięgo.

Szedłem za nimi.

Tymczasem służący, niosący latarkę i okrycie, stanął przy damie i dziecku, które miała ze sobą.

Witalis podszedł do niej i uklonił się sztywno.

— Przebacz pan, żem go wzywała, — rzekła do niego dama, — ale chciałam panu powinszować.

Witalis skłonił się, nie odpowiadając ni słowa.

— Jestem sama muzykantką, — mówiła dalej dama, — więc tak wielki talent, jaki pan posiadasz, musiał na mnie wywrzeć wrażenie.

Wielki talent u mego mistrza, u Witalisa, śpiewaka ulicznego, wodziciela zwierząt? — Stałem zdumiony.

— Nie może być mowy o talencie u takiego starego poczwiwa, jak ja, — rzekł Witalis.

— Niech pan nie sądzi, że mną powoduje pusta ciekawość, — mówiła dama.

— Byłbym gotów zaspokoić tę ciekawość. Nieprawda, zdziwioną jest pani, że wodziciel psów tak śpiewać może?

— Jestem zachwycona.

— Jest to rzecz bardzo pojedyncza. Nie byłem zawsze tem, czem dziś jestem. Niegdyś byłem... tak, byłem służącym u wielkiego śpiewaka i przez naśladownictwo tak, jak papuga, nauczyłem się kilku arji, które mój pan ćwiczył. Otóż wszystko.

Dama nie odpowiedziała nic, tylko długo przyglądała się Witalisowi, który stał przed nią w postawie wyrażającej zmieszanie.

— Do widzenia, panu, — rzekła, kładąc nacisk na słowie „panu“, które wymówiła obcym akcentem; do widzenia i raz jeszcze przyjm pan podziękowania za podniosłe wzruszenia, jakich doznałam, słuchając pańskiego śpiewu.

Poczem pochyliwszy się nad Kapim, włożyła w skarbonkę złoty pieniądz.

Wróciliśmy do oberży.

Biegłem pierwszy po schodach i wpadłem do pokoju. — Ogień nie wygasł jeszcze, lecz już nie palił się jasnym płomieniem.

Zapaliłem prędko świecę i szukałem wzrokiem Żolisia, zdziwiony, że nie słyszę jego oddechu.

Leżał na derce, cały wyciągnięty w swoim mundurze generalskim, który musiał przywdziać i zdawał się być uśpionym.

Pochyliłem się nad nim, aby go ująć ostrożnie za łapkę, nie budząc go.

Ta łapka była zimna.

W tej chwili Witalis wszedł do pokoju.

Zwróciłem się do niego: Żoliś jest zimny.

Witalis pochylił się także nad nim.

— Niestety, — rzekł, — on już nie żyje. Tak się stać miało. Widzisz, Remi, zawiniłem, zabierając cię pani

Milligan. Jestem ukarany. Przedtem Zerbino, Psinka; dzisiaj Żoliś; ale nie na tem koniec.

XV.

Do Paryża.

Dzieliła nas jeszcze znaczna odległość od Paryża. Drogami, zawianemi śniegiem, w poświście wichru północnego, który dał nam w twarz, — odbywaliśmy dalszą drogę.

Jak smutnemi były te długie marsze!

Witalis szedł na czele, ja kroczyłem za nim, a Kapi memi śladami.

Na szczęście Kapi był bardziej przyjacielskim, niż nasz mistrz i często idąc, poczułem wilgotne i ciepłe dotknięcie na mej ręce, — to Kapi mi ją lizał, jakby mi chciał powiedzieć:

— Wiedz, że jestem tu, ja Kapi, ja, twój przyjaciel!

I wtedy głaskałem go delikatnie, nie zatrzymując się.

Cóż pocniemy w Paryżu w takiej nędzy, w jakiej się znajdowaliśmy?

To było pytanie, które sam sobie z trwogą często zadawałem w czasie tych długich marszy.

Byłbym się chętnie zapytał o to Witalisa, lecz nie śmiałem, tak był ponuro usposobionym i tak zwięzłym w swych odezwach.

Wreszcie pewnego dnia stanął obok mnie i objął mnie takim spojrzeniem, że odczułem, iż dowiem się tego, co oddawna wiedzieć pragnąłem.

— A więc zmienił się tryb naszego życia, — rzekł, jakby prowadził dalej rozmowę oddawna już rozpoczętą, — za cztery godziny będziemy w Paryżu.

— Ach, to więc Paryż rozciąga się tam przed nami?

— W istocie.

Po chwili dodał: W Paryżu rozstaniemy się.

Spojrzałem na Witalisa. I on na mnie patrzył, a bla-

dość mej twarzy, drżenie mych warg powiedziały mi, co działo się we mnie.

— Otóż jesteś zaniepokojony, — rzekł, — a także zmartwiony. Na nieszczęście trzeba się zawsze właśnie wtedy rozstawać, kiedy przeciwnie pragnęłoby się przybliżyć do siebie.

— Lecz pan nie chce mnie chyba opuścić w Paryżu? — zapytałem nieśmiało.

— O nie, nie chcę cię opuścić, bądź przekonany o tem. Cóż robiłbyś w Paryżu sam, biedne dziecko? A potem nie mam przecież prawa opuścić cię. W dniu, w którym nie chciałem oddać cię pod opiekę tej szlachetnej damy, która cię chciała wychować jak swego syna, przejąłem zobowiązanie wychowania cię, jak najlepiej będę mógł. Na nieszczęście okoliczności mi nie sprzyjają. Chwilowo nic nie mogę uczynić dla ciebie i dlatego myślę o rozłące nie na zawsze, ale na pewien czas, abyśmy mogli wyżyć każdy zosobna przez ostatnie miesiące zimy. Przybędziemy do Paryża za kilka godzin. Cóż chcesz, abyśmy uczynili z trupą, składającą się ze samego Kapięgo?

— To prawda.

Rozważywszy to wszystko w myślach, postanowiłem, że oddam cię aż do końca zimy chlebodawcy, który cię wliczy do grona innych dzieci, grających na harfie.

Nie pomyślałem o czemś podobnem.

Lecz Witalis nie dając sobie przerywać, mówił dalej:

— Co do mnie, to będę uczył włoskie dzieci, grywające po ulicach, gry na harfie i na skrzypcach. Jestem znanym w Paryżu, gdzie już wielokrotnie przebywałem i skąd przybyłem do twojej wioski. Sądzę, że starając się o lekcje muzyki, znajdę ich więcej, niż będę się mógł podjąć. I tak będziemy żyli zosobna. Udzielając lekcji, równocześnie zajmę się tresowaniem dwóch psów, któreby mi zastąpiły Zerbina i Psinkę. Na wiosnę będziemy znów mogli udać się obaj razem w drogę, mój mały Remi, aby się już więcej nie rozłączać z sobą, gdyż

szczyćcie nie stroni ciągle od tych, którzy mają odwagę do walczenia z przeciwnościami. A właśnie odwagi i także poddania się losowi domagam się od ciebie w tej chwili. Później pójdzie nam lepiej. Trzeba przetrwać złą chwilę. Na wiosnę rozpoczniemy znów nasze życie na swobodzie. Zaprowadzę cię do Niemiec, do Anglii. Podrastasza i twój widnokrąg umysłowy się rozszerza. Nauczę cię wielu rzeczy i uczynię z ciebie człowieka. Zobowiązałem się do tego wobec pani Milligan i dotrzymam zobowiązania. Ze względu na te zamierzone podróże zacząłem uczyć cię po angielsku, po francusku i po włosku. To już wiele znaczy dla dziecka w twoim wieku, a przytem jesteś silny. Zobaczysz, mój mały Remi, zobaczysz, że wszystko nie jest jeszcze stracone.

XVI.

Chlebowdawca z ulicy Lursyn.

Im dalej posuwaliśmy się w głąb miasta, tem mniej to, co spostrzegłem, odpowiadało moim wyśnionym nadziejom i marzeniom dziecięcym o Paryżu.

Na rogu domu przeczytałem nazwę ulicy Lursyn.

Witalis, który zdawał się wiedzieć, dokąd idzie, odsuwał łagodnie grupy ludzi, którzy stawali na naszym przejściu.

Szedłem tuż przy Witalisie.

— Strzeż się, abyś mnie nie stracił z oczu, — rzekł mi.

Lecz to polecenie nie było potrzebnem, szedłem krok w krok za nim i dla większego bezpieczeństwa, trzymałem się rogu jego kabata.

Przebywszy wielkie podwórze i przejście, przybyliśmy do rodzaju ciemnej i zielonkawej nory, dokąd słońce nigdy zapewne nie przenikało. Było to najbrzyd-

1) Piszze się właściwie: Lourcine.

sze i najokropniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałem.

— Czy Garofoli jest u siebie? — zapytał Witalis człowieka, który zawieszał jakieś łachmany na murze, przyświecając sobie latarką.

— Tego nie wiem, idźcież przekonać się sami. Wiecie gdzie, na najwyższem piętrze drzwi wprost wejścia.

— Garofoli jest chlebodawcą, o którym ci powiedziałem, — mówił do mnie Witalis, idąc po schodach, których stopnie, pokryte warstwą ziemi, były tak śliskie, jakby je kto wilgną gliną oblepił.

To tutaj on mieszka!

Ulica, dom i schody nie wyglądały po temu, aby mi dodać otuchy. A jakim będzie mój chlebodawca?

Na czwartem piętrze Witalis bez pukania pchnął drzwi i znaleźliśmy się w rodzaju wielkiej komory, czy też śpichrza. Środek był próżny, a naokoło pod ścianami dwanaście stało łóżek. Ściany i sufit były koloru nieokreślonego.

— Garofoli, — rzekł Witalis, wchodząc, — czy tu jesteś w jakim kącie? Nikogo tu nie widzę. Odpowiedz mi, proszę cię. To Witalis do ciebie mówi.

W istocie w pokoju nie było widać nikogo przy świetle pięcioramiennego świecznika, przymocowanego do ściany; a jednak na słowa mego mistrza odpowiadał słaby, żalosny głosik dziecięcy.

Synjor Garofoli wyszedł i wróci dopiero za dwie godziny.

W tej samej chwili istota, która nam odpowiedziała, pokazała się. Było to może dziesięcioletnie dziecko, które zbliżało się ku nam, wlokąc się po podłodze. Uderzył mię tak bardzo dziwny jego wygląd, że dotąd widzę je przed sobą. Dziecko to zdawało się nie mieć kadłuba, a jego wielką, nieproporcjonalną głowę zdawała się opierać wprost na nogach. Twarz miała wyraz głębokiej boleści i wielkiej słodyczy, w oczach widniało beznadziejne poddanie się losowi.

Tak zbudowane, nie mogło być to dziecko ładnem, lecz mimowoli pociągało wzrok ku sobie i budziło sympatię. Pewien wdzięk miały jego wielkie, łzawe i czule, jak u psa, oczy i jego wymowne usta.

— Jesteś tego pewnym, że będzie tu dzisiaj za dwie godziny? — zapytał Witalis.

— Z wszelką pewnością, synjorze. Jest to pora obiadowa i on sam wydziela zawsze obiad.

— Gdyby miał więc przybyć rychlej, to powiedz mu, że Witalis przyjdzie za dwie godziny.

— Za dwie godziny, tak, synjorze.

Chciałem odchodzić wraz z moim mistrzem, lecz powstrzymał mnie.

— Pozostań tu, — rzekł, — wypoczniesz.

Uczyniłem ruch wyrażający przestrach.

— Zapewniam cię, że powrócę napewno.

Gdy ucichł odgłos ciężkich kroków jego na schodach, dziecko, które pochylone ku drzwiom nadśluchiwało, zwróciło się do mnie.

— Czy pochodzisz z kraju? — zapytało mnie po włosku.

— Nie, — odpowiedziałem po francusku.

— Ach, — zawołało smutnie, patrząc na mnie swemi wielkimi oczami, — tem gorzej, — wolałbym, abyś był rodem z kraju.

— Z jakiego kraju?

— Z Włoszech; byłbyś mi mógł powiedzieć jakie nowiny.

— Jestem Francuzem.

— Tem lepiej.

— Czy wolisz Francuzów niż Włochów?

— Nie i to nie ze względu na siebie, lecz ze względu na ciebie mówię: „tem lepiej“. Gdybyś był Włochem, to prawdopodobnie dostałbyś się w służbę synjora Garofoli, a wtedy nie mógłbym ci powiedzieć: „tem lepiej“.

Te słowa nie mogły mnie uspokoić.

— Czy Garofoli jest złym? — zapytałem.

Dziecko nie odpowiedziało wprost na to pytanie, lecz spojrzenie, jakie na mnie rzuciło, było przerażająco wymownem.

— Synjor Garofoli jest moim wujem i wziął mnie do siebie z litości. Matka moja jest biedną wdową. Gdy Garofoli przybył do kraju zeszłego roku po dzieci, zaproponował, że mnie zabierze. Trudno było matce rozstać się ze mną, ale... trzeba było. W domu było sześcioro dzieci, z których ja byłem najstarszym. Najpierw Garofoli miał tylko mnie jednego, ale w przeciągu ośmiu dni było nas tużin dzieci. Ruszyliśmy w drogę do Francji. Och! była to długa droga zarówno dla mnie, jak i dla moich towarzyszy, którzy wszyscy byli smutni. Wreszcie przybyliśmy do Paryża. Wtedy Garofoli dał mi dwie białe myszki, które miałem pokazywać podedrzwiami i w sieniach domów i zebrać dziennie 30 groszy. „Ile groszy brakować ci będzie do wyznaczonej sumy, — rzekł mi, — tyle batów dostaniesz wieczorem“.

— Trzydzieści groszy, to ciężko uzbierać, ale ciężiej jeszcze odbierać plagi, które wymierza Garofoli. Czyniłem wszystko, co mogłem, by uzbierać żadaną sumę, ale mimo usilnego starania, nie mogłem często tego dokonać. Wreszcie Garofoli widząc, że plagi nic tu nie pomagają, użył innego sposobu. Za każdy brakujący grosz, odejmę ci ziemniaków, przeznaczonych dla ciebie na wieczerzę, — rzekł. — Skóra twa jest wytrzymałą na kije, lecz może twój żołądek wrażliwym będzie na głód.

— Po miesiącu, czy też sześciu tygodniach, w których używał tego sposobu, nie utylłem doprawdy; lecz stałem się tak bladym, że przechodnie często mówili:— „Otóż dziecko, które niezadługo umrze z głodu“. Natura odmówiła mi urody, lecz cierpienie uczyniło mnie interesującym, nadało wyraz moim oczom. Ludzie litowali się nademną i choć nie zbierałem więcej groszy, lecz dostawałem to kawałek chleba, to talerz zupy. Były to dobre dla mnie czasy. Nie dostawałem już plag, a choć

nie dawano mi ziemniaków na wieczerzę, nie obchodziło mnie to wiele, bo najadłem się poprzednio na obiad. Ale pewnego dnia Garofoli zobaczył mnie jedzącego talerz zupy u owocarki i zrozumiał, dlaczego nie skarżę się na odbieranie mi ziemniaków. Postanowił zatem, że już odtąd nie będę wychodził i pozostanę w domu, aby gospodarzyć. Gotuję jedzenie, ale ponieważ mógłbym jeść w czasie gotowania, więc Garofoli wymyślił garnek z pokrywką zamykaną na kłódkę. Zrana kładzie w garnek mięso z jarzyną, nalewa wodę, nakrywa pokrywką i zamyka na kłódkę. Potrzebuję tylko przystawić garnek na ogień. Wącham zapach rosołu, gotując to wszystko, ale to nie syci, przeciwnie podnieca uczucie głodu; to też od czasu, gdy jestem w kuchni, pobladłem jeszcze bardziej. Ale dosyć ci już naopowiadałem, Garofoli zaraz przyjdzie, a nic nie będzie gotowem.

Mówiąc to, chodził, utykając na nogi, naokół stołu, ustawiając na nim talerze i nakrycia. Naliczyłem dwadzieścia talerzy, a więc dwadzieścia dzieci miał Garofoli pod swą komendą. Łóžeczek było jednak tylko dwanaście, więc chyba po dwoje dzieci sypiało razem. Co za łóžka! Bez powleczeń, z czerwonymi derami, które musiano zakupić w stajni, gdy już były zbyt wytarte, aby ogrzewać konie.

Była to pora, w której wracali wszyscy uczniowie Garofolego. Każdy z nich wchodząc, zawieszał swój instrument na gwoździu ponad łóžkiem, ten skrzypce, ów harfę, inny znów flet lub puzon. Dzieci, które nie były muzykalnemi, wsadzały do klatki zwierzątka, które na ulicach pokazywały.

Ciężkie kroki rozległy się na schodach; czułem, że to Garofoli.

Do pokoju wszedł krokiem niepewnym mały człowieczek o twarzy niemiłej, lecz nie miał na sobie włoskiego ubrania, tylko szare palto.

Pierwsze jego spojrzenie padło na mnie, spojrzenie, od którego zimno mi się w głębi serca zrobiło.

— Co to za chłopiec? — zapytał.

Mattia odpowiedział mu prędko i grzecznie, dając objaśnienia, jakie mu Witalis dać polecił.

— Ach, więc Witalis jest w Paryżu! Czegóż on chce odemnie?

— Nie wiem, — odpowiedział Mattia.

— Nie mówię do ciebie, lecz do tego chłopca.

— Mistrz mój przybędzie, — rzekłem, nie śmiąc mu odpowiedzieć szczerze — i sam powie panu, czego sobie życzy.

Gdy Garofoli zasiadł, jedno z dzieci przyniosło mu fajkę napełnioną tabaką, a równocześnie drugie dziecko podało mu zapaloną zapalną.

— Teraz, — rzekł Garofoli, rozsiadłszy się wygodnie i pociągając fajeczkę, — obliczymy się, moje małe aniołki. Mattia, gdzie książka?

Było to wielką łaską ze strony Garofolego, że raczył mówić, gdyż jego uczniowie odgadywali jego życzenia, zanim wypowiedział takowe.

Zanim jeszcze zażądał książki obrachunkowej, Mattia położył przed nim mały, zbrukany rejestr.

Garofoli dał znak dziecku, które mu podało zapalną. Dziecko przybliżyło się.

— Jesteś mi winien grosz od wczoraj, obiecałeś, że dziś mi go oddasz. Ile przynosisz mi dzisiaj?

Długo wahało się dziecko z odpowiedzią. Policzki jego nabiegły purpurą.

— Braknie mi grosza.

— Ach, braknie ci grosza i to mówisz tak spokojnie?

— Braknie mi grosza nietylko od wczoraj, ale i grosza na dzisiaj.

— A więc dwa grosze. Widział kto coś podobnego?

— To nie moja wina.

— Bez głupstw; znasz regułę. Zdejmuj twój żakiet. Dwa kije za wczoraj, dwa kije za dzisiaj i prócz tego

nie dostaniesz ziemniaków za twe zuchwalstwo. Rikardo, mój ulubieńcze, zasłużyłeś sobie na tę rozrywkę przez twą uprzejmość. Zdejm rzemyczki.

Rikardo zdjął ze ściany bat z krótką rączką, o dwóch rzemyczkach, zakończonych wielkimi, mosiężnymi gałkami.

Tymczasem ten, któremu brakło grosza, obnażył się do pasa.

— Zaczekaj trochę, — rzekł Garofoli ze złym uśmiechem, — może nie będziesz sam, a jest to zawsze przyjemnie mieć towarzystwo i prócz tego Rikardo nie będzie potrzebował zabierać się do roboty po kilka razy.

Wtedy podeszło jeszcze kolejno dziesięcioro dzieci, które składały obrachunki. Znalazło się jeszcze czterech, którzy żądanej sumy nie mieli.

— Więc aż pięciu tych rabusi, którzy mnie okradają i obrabowują, — wołał Garofoli jęczącym głosem, — otóż co to znaczy być zbyt wspaniałomyślnym! Z czego mam zapłacić dobre mięso i smaczne kartofle, które wam daję, jeżeli nie pracujecie?

Rikardo trzymał bat w ręku, a pięciu skazańców stało ustawionych obok niego.

— Ty wiesz, Rikardo, — rzekł Garofoli, — że nie patrzę na ciebie, bo widok tych plag nie służy mi, lecz słucham i podług odgłosu oceniam siłę uderzeń. Zabierz się z całych sił do dzieła, mój miły, gdyż tem zapracujesz sobie na twój kawałek chleba.

Za drugim uderzeniem skazaniec wydał żalosne westchnienie, za trzecim krzyk przerażający.

Pierwsze świshnięcie bata wycisnęło mnie samemu łzy w oczach.

Szczęściem nic więcej z tego nie widziałem.

Drzwi otworzyły się i Witalis wszedł. — Jeden rzut oka wystarczył mu do zrozumienia, co oznaczały krzyki, jakie słyszał, idąc po schodach. Dobiegł do Rikarda, wyrwał mu bat z ręki, poczem zwracając się

do Garofolego, stanął przed nim ze skrzyżowanemi rami-
nami.

— Co się mieszasz w to, co cię nie obchodzi, stary
warjacie, — rzekł Garofoli.

— To obchodzi policję.

— Ty mnie grozisz policją? — wrzasnął Garofoli,
podnosząc się z miejsca.

— Tak, ja, — odpowiedział mój mistrz, nie dając
się zastraszyć wściekłością Garofolego.

— Posłuchaj, Witalisie, — rzekł tamten, uspakajając
się i przybierając ton żartobliwy, — nie trzeba być nie-
grzecznym i grozić mi, gdyż i ja z mej strony mógłbym
niejedno opowiedzieć. A wtedy nie wiem, kto z nas
byłby bardziej niezadowolonym. Zapewne nie poszedł-
bym na policję, którą wasze sprawy nic nie obchodzą.
ale są inni, których by to zainteresowało. Potrzebuję im
powiedzieć tylko jedno jedyne imię, a wtedy któż z nas
starałby się bardziej ukryć swą hańbę?

Mój mistrz stał chwilę, nie odpowiadając.

Swą hańbę? — Byłem zdumiony i nim jeszcze
otrząsnąłem się z tego zdumienia, mistrz ujął mnie za
rękę.

— Pójdź za mną!

I wyszedł ze mną za drzwi. Nie mówiąc słowa, nie
odwracając się, zszedł ze schodów, trzymając mnie
wciąż za rękę. Z jakąż ulgą kroczyłem za nim. Nie do-
stanę się Garofolemu! Gdybym był śmiały, byłbym uści-
skał za to Witalisa.

XVII.

Kamieniołomy w Żantili. ¹⁾

Tak długo, dopóki byliśmy na ulicach, po których
chodzili ludzie, Witalis szedł, nic nie mówiąc. Lecz nie-
bawem znaleźliśmy się na pustej uliczce. Wtedy usiadł

¹⁾ Pisze się po francusku: Gentilly.

na kamieniu i kilkakrotnie potarł czoło ręką, co było u niego oznaką zmieszania.

— Bardzo to pięknie iść za głosem wspaniałości, — mówił sam do siebie, — ale otóż teraz jesteśmy na bruku paryskim, bez grosza w kieszeni i bez kęsa chleba w żołądku. Czyś głodny?

— Nie jadłem dziś nic prócz małej skórki chleba, jaką dostałem od pana dziś rano.

— A więc, moje biedne dziecko, musisz położyć się spać bez obiadu, jeżeli wogóle będziemy mieli gdzie przenocować.

— Liczyłeś pan na to, że przenocujemy u Garofolego?

— Liczyłem, że ty tam przenocujesz i że dostanę za pozostawienie ciebie u niego z jakie dwadzieścia franków, które na razie byłyby dla mnie wystarczły. Ale widząc, jak Garofoli obchodzi się z dziećmi, nie mogłem zapanować nad sobą. Nie miałeś przecież ochoty pozostać u niego, nieprawdaż?

Było już późno, i zimno, które w ciągu dnia złagodniało, stało się znów przenikliwym i lodowatym. Wiatr wiał od północy. Zanosiło się na bardzo zimną noc.

Witalis siedział długo na kamieniu w czasie, gdy ja i Kapi staliśmy przed nim nieruchomo, oczekując na jego postanowienie. Wreszcie podniósł się.

— Dokąd pójdziemy?

— Do Żantili, by poszukać kamieniołomu, gdzie kiedyś nocowałem. Czyś zmęczony?

— Wypocząłem u Garofolego.

— Na nieszczęście ja nie jestem wypoczętym i już dalej nie mogę, a jednak trzeba iść. Naprzód, moje dzieci.

Nazwy „moje dzieci“ na pieski i na mnie używał mistrz tylko wtedy, gdy był w dobrym humorze, ale tego wieczoru wypowiedział te słowa ze smutkiem.

Szliśmy znów ciągle ulicami i uliczkami Paryża, a rzadko spotykani przechodnie zdawali się spoglądać na nas ze zdumieniem.

Nie mówiąc ni słowa, Witalis szedł pochyłony, a mimo panującego zimna, dłoń jego parzyła moją rękę. Chwilami zatrzymywał się, aby wesprzeć się przez minutę na mem ramieniu, a wtedy czułem, że całe jego ciało wstrząsało się drganiem kurczowem.

Zazwyczaj nie śmiałem zadawać mu pytań; lecz tym razem uczyniłem wyjątek. Odczuwałem potrzebę powiedzieć mu, że go kocham, lub przynajmniej, że chciałbym uczynić coś dla niego.

— Pan jest chory! — rzekłem w chwili, gdy się zatrzymał.

— Obawiam się, że tak jest, a w każdym razie jestem znużony, wyczerpany. Marsze ostatnich dni zbyt były długie na mój wiek, a zimno tej nocy ścina mi krew w żyłach. Przydałoby mi się wygodne łóżko i kolacja w dobrze ogrzonym pokoju. Ale to jest nieziszczalnem marzeniem. Naprzód, dzieci!

Naprzód! Wyszliśmy za miasto, poza rzędy kamienic, idąc częściowo wzdłuż murów, częściowo otwartem polem, lecz idąc ciągle.

Choć było ciemno i choć drogi krzyżowały się na każdym kroku, Witalis szedł jak człowiek, który wie, dokąd idzie i który zna doskonale drogę. To też kroczyłem za nim bez obawy, że zbłądzimy, niepokojąc się tylko tem, kiedy nareszcie dojdziemy do kamieniołomu.

Szliśmy tak pod wiatr przeszło godzinę, w ponurej ciszy nocnej. Odgłos naszych kroków rozbrzmiewał głucho na zmarzniętej ziemi. Choć sam ledwie powłóczyłem nogami, musiałem teraz prowadzić Witalisa. Nagle zatrzymał się:

— Wejście do kamieniołomu zamknięte. — Tak, zamknięte; nie można wejść.

— Cóż uczynić?

— Nie wiem sam, chyba umrzeć tu.

— O panie!

— Tak, ty nie chcesz umrzeć, jesteś młodym, więc życie cię nęci. A więc chodźmy, czyż możesz jeszcze iść?

— A pan?

— Gdy już dalej nie będę mógł się wlec, padnę, jak stary koń.

— Gdzie pójdziemy?

— Powrócimy do Paryża, a jak spotkamy policjantów miejskich, damy się im zaprowadzić na odwach policyjny. Wolałbym tego uniknąć, ale nie chcę, abyś zmarł od mrozu. Idźmy, mój mały Remi, idźmy, moje dziecko, odwagi!

I znów powracaliśmy tą samą drogą, którą przyszliśmy.

Jak późno już było? — Nie miałem o tem pojęcia. Szliśmy długo, bardzo długo i powoli. Była już północ, a może pierwsza po północy. Niebo wciąż było ciemne, bez księżyca, tylko tu i owdzie migotały blado małe gwiazdeczki. Wicher nie uciszył się, przeciwnie dał coraz silniej i wznosił tumany pyłów śnieżnych, które miotał nam w twarz. Domy, koło których przechodziliśmy, były pozamykane i ciemne. Zdawało mi się, że, gdyby ludzie, którzy tam w ciepłych swych łóżkach spali, wiedzieli, jak nam jest zimno, to otworzyliby nam drzwi swych domów.

Idąc prędko, nie odczuwalibyśmy tak bardzo zimna; ale Witalis posuwał się tylko z wielkim wysiłkiem naprzód, dysząc ciężko. Oddech jego był tak przyspieszony, jakby po prędkim biegu.

Zatrzymał się.

Zrozumiałem, że siły jego się wyczerpały.

— Chcesz pan, abym zapukał do którychkolwiek drzwi? — zapytałem.

— Nie, nie otworzonoby nam. — Są to ogrodowi, którzy tu mieszkają. Nie wstają oni o tej porze.

— Idźmy ciągle.

Ale siły jego nie sprostaly chęciom,

Po kilku krokach zatrzymał się znowu.

— Muszę odpocząć trochę, — rzekł, — nie mogę iść dalej.

Jakaś furtka znajdowała się w sztachetach a poza temi sztachetami wznosił się nawprost stos nawozu jak to się często widzi w sadach. Dmący wiatr, odrywał słomę, jaką stos nawozu był okryty i przerzucał ją aż na ulicę, tuż przy furcie.

— Tutaj usiądę, — rzekł Witalis.

— Powiedziałeś pan, że jeżeli usiądziemy, to możemy zmarznąć na śmierć.

Nie odpowiadając mi, dał znak, abym pozbierał słomę przy furtce i usiadł, a raczej upadł na to posłanie ze słomy. Zęby mu szczękały i drżał na całym ciele.

— Nazbieraj jeszcze więcej słomy, — rzekł mi, — stos nawozu chroni nas tu przed wiatrem.

Tak, chronił nas przed wiatrem, lecz nie przed mrozem.

Nazbierałem tyle słomy, co tylko mogłem i usiadłem przy Witalisie.

— Przytul się do mnie, — rzekł, — a Kąpiego połóż przy sobie, aby cię rozgrzał swem ciepłem.

Witalis był człowiekiem doświadczonym, który wiedział, że zimno w tych okolicznościach, w jakich się znajdowaliśmy, mogło być dla nas śmiertelnem.

Wystawiając się na takie niebezpieczeństwo, musiał być zupełnie z sił wyczerpanym.

Czyż zdawał sobie sprawę ze swego stanu? Nigdy nie miałem się o tem dowiedzieć. Ale w chwili, gdy nakrywszy się słomą, przytuliłem się do niego, poczułem, że pochylił się nademną i ucałował mnie w twarz. Było to po raz drugi i, niestety, po raz ostatni.

Lekkie zimno przeszkadza zasnąć ludziom, którzy drżą, kładąc się do łóżka; wielkie zimno, trwające długo, ścina krew w żyłach i odbiera przytomność tym, których pochwyci na wolnym powietrzu. Tak było też z nami.

XVIII.

Liza.

Gdy się przebudziłem, leżałem w łóżku.

Płomień gorejącego ognia oświecał pokój, w którym się znajdowałem i który wydał mi się nieznanym.

Nie znałem także osób, które mnie otaczały: człowieka w szarej sukmanie i żółtych drewniakach; — czworga dzieci, z pośród których mała dziewczynka pięcio czy też sześćioletnia wpatrzoną była we mnie oczyma zdziwionemi, a tak wyrazistemi, że zdawały się przemawiać.

Uniosłem się na posłaniu.

Pochyłono się nademną.

— A Witalis? — zapytałem.

— On pyta się o swego ojca, — rzekła najstarsza dziewczynka.

— To nie jest mój ojciec, to mój mistrz. Gdzie on jest? Gdzie jest Kapi?

Gdyby Witalis był moim ojcem, nie powiedziano by mi niezawodnie odrazu wszystkiego; ale ponieważ był tylko moim mistrzem, sądzono, że nie potrzeba taić przedemną prawdy.

Furtka, we wgłębieniu której przykucnęliśmy, wiodła do domu ogrodnika. Otwierając o drugiej w nocy furtkę, by udać się z wózkiem jarzyn na targ, znalazł nas ogrodnik nieruchomych i zeszywniałych na naszem legowisku ze słomy. Wołano na nas, abyśmy się podnieśli i przepuścili wózek, ale gdyśmy się nie poruszali i tylko Kapi odpowiadał poszczekiwaniami w naszej obronie, wtedy chwycił nas za ramiona, potrząsając nami. Nie drgnęliśmy nawet. Wtedy naszły go poważne obawy. Przyniesiono latarkę i przekonano się, że Witalis nie żył, że zmarł i że mnie też wiele nie brakowało do śmierci. Lecz dzięki temu, że Kapi leżał mi na piersiach, miałem jeszcze w sobie trochę ciepła i oddychałem. Zaniesiono mnie do domu ogrodnika i położono do łó-

żeczka jednego z dzieci, któremu kazano wstać. Przez sześć godzin leżałem, jak nieżywy, poczem krew zaczęła znów krążyć w mych żyłach, oddech stał się silniejszym, i ocuciłem się.

Pomimo że ciało moje było jeszcze zdrętwiałe a umysł niezupełnie przytomny, pojąłem jednak w całej pełni znaczenie tych słów, które co dopiero usłyszałem. Witalis nie żył!

Opowiadał mi to wszystko człowiek w szarej sukmanie, to jest ogrodnik, a w czasie, gdy mówił, mała dziewczynka o zdziwionem wejrzeniu nie spuszczała ze mnie oczu. Kiedy jej ojciec powiedział, że Witalis umarł, zrozumiała to niezawodnie, przeczuła, jakim ciosem była dla mnie ta wiadomość. Opuszczając żwawo kąpielnię, w którym stała, podbiegła do ojca, położyła mu rączkę na ramieniu a drugą wskazując na mnie, wydała dziwny dźwięk, niby to słowo współczucia, czy też rzewne westchnienie.

Sam jej ruch był tak wymownym, że nie potrzebowałem objaśnienia. W tym ruchu i w jej spojrzeniu odczułem bezwiedną sympatię i po raz pierwszy od czasu rozstania się z Arturem doświadczyłem niewypowiedzianego uczucia zaufania i czułości. Tak samo spoglądała na mnie matka Barberin, gdy mnie chciała uściskać. — Witalis umarł. Byłem sam, ale nie czułem się opuszczonym, jak gdyby on był jeszcze przy mnie.

— Ach tak, moja mała Lizo, — rzekł ojciec, pochylając się nad swą córeczką, — to mu sprawia ból, ale trzeba powiedzieć mu prawdę; bo gdybyśmy tego nie uczynili, to uczyniłaby to policja.

I opowiadał mi dalej, jak sprowadzono policjantów miejskich, którzy zabrali z sobą zwłoki Witalisa w czasie, gdy kładziono mnie do łóżeczka Aleksego, jego najstarszego syna,

— A Kapi? — zapytałem, gdy przestał mówić.

— Kapi?

— Tak, pies?

— Nie wiem, zapodział się gdzieś.

Szedł za noszami, na których niesiono zwłoki, — rzekło jedno z dzieci.

— Czyś to widział Benjaminie?

— Tak, szedł z łbem spuszczonym krok w krok za ludźmi, którzy nieśli nosze i od czasu do czasu wskakiwał na nosze, a gdy go odpędzano, skomlał żałośnie.

— Biedny Kapi, tyle razy, jako dobry komedjant, udawał, że idzie za pogrzebem Zerbina, przybierając minę płaczliwą, wydając westchnienia, które pobudzały do śmiechu najsmutniejsze nawet dzieci!

Pozostawiono mnie teraz samego. — Nie wiedziałem co począć, lecz zacząłem się ubierać.

Moja harfa leżała w nogach łóżka. Przeciagnałem rzemień od harfy naokół mego ramienia i skierowałem się do pokoju, w którym znajdował się ogrodnik ze swemi dziećmi. — Trzeba iść stąd sobie, ale dokąd? ... Nie wiedziałem, lecz czułem, że muszę odejść... i odchodziłem.

Przebudziwszy się w łóżku, czułem się dosyć dobrze mimo zdrętwienia członków i nieznośnego bólu głowy, lecz stanąwszy na nogach, byłbym upadł, gdybym się nie był oparł o krzesło. Po chwili wypoczynku otworzyłem drzwi i znalazłem się w obecności ogrodnika i jego dzieci.

Siedzieli naokół stołu, w pobliżu wysokiego kominika, na którym płonął ogień i jedli zupę z kalafiorów. Zapach tej zupy przypomniiał mi, że już od wczoraj nic nie jadłem. Słabo mi się zrobiło i zachwiałem się na nogach. Widać było po mej twarzy, że mi niedobrze.

— Czy się źle czujesz, mój chłopcze? — zapytał ogrodnik głosem współczującym.

Odpowiedziałem, że jest mi niedobrze i że, jeżeli pozwolą, to usiądę na chwilę przed ogniem.

Ale nie ciepła, lecz przedewszystkiem pożywienia potrzebowałem w tej chwili. Nie zrobiło mi się lepiej w grzejącym blasku ognia, a zapach zupy, brząkanie łyżek o talerze i mlaskanie jedzących powiększyły jeszcze moją słabość.

Gdybym był śmiały, byłbym poprosił o talerz zupy! Ale Witalis nie nauczył mnie wyciągać ręki i przyroda nie stworzyła mnie żebrakiem. Umarłbym raczej z głodu, niż miałbym powiedzieć: „Jestem głodny!“ Dlaczego? Nie wiem, lecz nigdy nie domagałem się od nikogo tego, czego nie mógłbym oddać.

Mała dziewczeczka o dziwnem wejrzeniu, która nic nie mówiła, a którą ojciec jej nazywał Liza, siedziała nawprost mnie, lecz zamiast jeść, przyglądała mi się uporczywie, nie spuszczać, ani nie odwracając spojrzenia. Nagle wstała od stołu i biorąc swój talerz, napel-niony zupą, przyniosła mi go i postawiła na kolanach.

Nie mogłem już dobyć głosu z osłabienia, lecz ręką uczyniłem gest dziękczynny.

— Przyjm to od Lizy, mój chłopcze, — rzekł jej ojciec, — bo co ona daje, to daje ze szczerego serca, a jeżeli będziesz miał ochotę, to możesz dostać potem jeszcze drugi talerz zupy.

Czy miałem ochotę? W kilku sekundach pochłona-łem zupę, a gdy odkładałem łyżkę, Liza, która stała przedemną, spojrzała na mnie bystro i wydała okrzyk zadowolenia. Potem biorąc mój talerz, podstawiała go swemu ojcu, aby go znów napelnił i przyniosła mi go ze słodkim, zachęcającym uśmiechem.

Tak, jak za pierwszym razem, zupa znikła z talerza w jednej chwili.

Dzieci, które z uśmiechem na ustach mi się z po-czątku przyglądały, teraz śmiały się do rozpuku.

— Masz dobry spust, mój chłopcze, — rzekł ogrodnik.

Czułem, że się rumienię aż do włosów; ale po chwili postanowiłem powiedzieć raczej prawdę, niż dopuścić,

aby mnie posądzano o żarłoczność i odpowiedziałem, że już wczoraj nie jadłem obiadu.

— A śniadania?

— Tak samo nie jadłem.

— A twój mistrz?

— On także nic nie jadł.

— A więc umarł nie tylko z zimna, ale i z głodu.

Zupa dodała mi sił. — Podniosłem się, by odejść.

— Dokąd chcesz iść? — zapytał ojciec.

— Odejść precz.

— Do kogo?

— Nie wiem.

— Czy masz jakich przyjaciół w Paryżu?

— Nie.

— Ludzi z twoich stron?

— Nikogo.

— Gdzie jest twoje mieszkanie?

— Nie mieszkaliśmy nigdzie; przybyliśmy wczoraj.

— Co chcesz robić?

— Grać na harfie, śpiewać moje piosenki i w ten sposób zarabiać na życie.

— I to tu w Paryżu? Zrobiłbyś lepiej, gdybyś powrócił w rodzinne strony do twoich rodziców. — Gdzie oni mieszkają?

— Nie mam rodziców.

— Mówiłeś, że ów starzec z białą brodą nie jest twym ojcem.

— Nie mam wcale ojca.

— A matka?

— Nie mam matki.

— Lecz masz zapewne wuję, ciotkę, lub kogo z krewnych.

— Nie, nikogo.

— Skąd pochodzisz?

— Mój mistrz kupił mnie od męża mej żywicielki. ... Państwo byliście dobrzy dla mnie; dziękuję wam za to z całego serca i jeżeli sobie życzyacie i was to za-

bawi, to powrócę w niedzielę, by zagrać wam na harfie do tańca.

Mówiąc to, skierowałem się do drzwi; lecz za ledwie uczyniłem kilka kroków, gdy Liza, która szła za mną, ujęła mnie za rękę i z uśmiechem wskazała mi na harfę. Omyłka była wykluczona.

— Czy chcesz, abym zagrał?

Przytaknęła ruchem głowy i uderzyła radośnie w dłoń.

— Ach tak, — rzekł ojciec, — zagraj jej cośkolwiek.

Wziąłem harfę i choć nie miałem ochoty do tańca, ani do wesołości, zacząłem walca, którego najbieglej grałem. Ach, gdybym go mógł zagrać tak, jak Witalis, i sprawić przyjemność tej małej dziewczeczce, która swemi wejrzeniami wnikała mi w głąb serca.

Z początku słuchała, wpatrzona we mnie, potem wybiła takt nóżkami, wreszcie, jakby porwana muzyką, poczęła tańczyć po kuchni w czasie, gdy jej dwaj bracia i starsza siostra cicho siedzieli na swych miejscach. Nie walcowała w tempie tanecznem, lecz obracała się w kółko z wielkim wdziękiem, z buzią rozjaśnioną.

Siedząc przy kominku, ojciec jej nie spuszczał jej z oczu; wydawał się bardzo wzruszonym i klaskał w ręce.

Gdy skończyłem grać walca, dziewczeczka stanęła naprzeciw mnie i złożyła mi wdzięczny ukłon, a następnie stukając palcem w harfę, dała mi znak, który miał oznaczać: „jeszcze“.

Grałbym dla niej z przyjemnością przez dzień cały, lecz jej ojciec powiedział, że to dosyć, bo nie chce, aby Liza zmęczyła się tańcem.

Wtedy zamiast zagrania tanecznej melodji, zanuciłem neapolitańską piosenkę, której mnie Witalis nauczył.

Była to moja piosenka popisowa, w której zazwyczaj najwięcej miałem powodzenia. Melodja tej piosenki słodka, rzewna i tkliwa wzruszała serca słuchaczy.

Przy pierwszych tonach Liza usiadła naprzeciw mnie, trzymając oczy swe utkwione w moich, poruszając wargami, jakby powtarzała pocichu me słowa. Gdy tony piosenki stały się smutniejsze, cofnęła się o kilka kroków, a przy ostatniej zwrotce rzuciła się z płaczem ojcu na kolana.

— Dosyć, — rzekł tenże.

— Jakaż ona niemądra! — rzekł jeden z jej braci, ten, którego nazywano Benjaminskiem, — najpierw tańczy, a potem zaraz płacze.

— Nie tak niemądra, jak ty, ona odczuwa wszystko serduszkami, — odparła starsza siostra i pochyliła się nad Lizą, by ją uściskać.

W czasie, gdy Liza rzuciła się ojcu na kolana, założyłem harfę na ramię idąc ku drzwiom.

— Dokąd idziesz? — zapytał ojciec.

— Odchodzę.

— Kochasz zatem twój zawód muzykanta?

— Nie mam innego zawodu do wyboru.

— Nie obawiasz się życia na gościńcu?

— Nie mam własnego domu.

— Ostatnia noc powinna ci dać dużo do myślenia.

— Zapewne, wolałbym wygodne łóżko i miejsce przy ognisku domowym.

— Jeżeli chcesz, to ofiaruję ci w moim domu miejsce przy ognisku i wypoczynek w wygodnym łóżku, naturalnie po pracy. Zostań tu, pracuj i żyj wspólnie z nami. Ale nie ofiaruję ci bogactwa, w którym mógłbyś próżnować. Jeżeli przyjmiesz moją propozycję, to razem z nią przyjmiesz twój dział pracy i cierpienia. Trzeba będzie rano rychło wstawać i dzień cały pracować ciężko w pocie czoła na chleb powszedni. Ale byt będziesz miał zapewniony, nie będziesz narażonym na to, abyś musiał nocować pod gołym niebem, jak zeszłej nocy i może umrzeć opuszczony gdzie w jakim kącie, lub rowie przydrożnym. Wieczorem zastaniesz łóżko do spania usłane, a spożywając jedzenie, będziesz miał

to zadowolenie, żeś na nie zasłużył, a myśl ta przysparza apetytu, zapewniam cię o tem. A wreszcie jeżeli jesteś dobrym chłopcem, o czem jestem przekonany, to będziesz miał w nas własną rodzinę.

Liza odwróciła się i patrzyła na mnie przez łzy, uśmiechając się zarazem.

— A więc, — rzekł ojciec, — czy zgadzasz się na to, mój chłopcze?

Własna rodzina! Będę miał więc rodzinę! Ach, ileż razy rozwiał się już to najmilsze moje marzenie! Matka Barberin, pani Milligan, Witalis, ich wszystkich zabrakło mi jednego po drugim.

Nie będę już sam.

Moje położenie było okropne. Widziałem umiarkowanego człowieka, z którym żyłem od wielu lat i który był dla mnie prawie ojcem. Równocześnie utraciłem towarzysza, a zarazem przyjaciela mego dobrego i drogiego Kapięgo, którego tak kochałem i który tak bardzo był do mnie przywiązany. Lecz gdy ogrodnik zaproponował mi, abym pozostał u niego, ufność niewypowiedziana zapełniła mi serce.

Nie było dla mnie wszystko skończone. Mogłem rozpocząć życie nanowo.

A co mnie więcej jeszcze pociągało, niż byt zapewniony, o którym mi mówiono, to było to wnętrze domowe, które tak zgodnem oglądałem i to wspólne życie rodzinne, które mi przyobiecivano.

Ci chłopcy będą memi braćmi.

Ta ładna, mała Liza będzie moją siostrą.

Z pospiechem zdjąłem rzemień mej harfy z ramienia.

— Otóż to odpowiedź, — rzekł ojciec, śmiejąc się i to odpowiedź dobra, która widać sprawia ci przyjemność. Zawieś twój instrument na tym gwoździu, mój chłopcze, a w dniu, w którym nie będzie ci już dobrze między nami, zdejmiesz go ze ściany, by wylecieć z naszego gniazda. Lecz uczynić to wtedy tak, jak to czynią jaskółki

i słowiki, to jest odczekaj odpowiedniej pory do wybrania się w drogę.

Dom, przy którego furcie upadliśmy ze znużenia, należał do ogrodnika Akę¹⁾. W chwili, w której przyjeżdżono do tego domu, rodzina składała się z pięciu osób: z ojca, którego nazywano Piotrem; z dwóch chłopców, Aleksiego i Benjamina i dwóch dziewcząt, starszej Stefanji i najmłodszej ze wszystkich dzieci, Lizy.

Liza była niemą, ale nie od urodzenia, to znaczy, że jej niemota nie była skutkiem głuchoty. Mogła mówić przez dwa lata, potem nagle w czwartym roku życia zaniemówiła po napadzie epilepsji. Szczęściem nie wpłynęło to niekorzystnie na jej umysł, który przeciwnie rozwijał się nadzwyczaj szybko. Nietylko rozumiała wszystko, co się do niej mówiło, lecz potrafiła okazać wszystko, co chciała. Jej bracia nie wytykali jej kalectwa; ojciec widział w niej wszystko; najstarsza siostra, Stefania, uwielbiała ją.

Pani Akę umarła w rok po urodzeniu się Lizy i od tego dnia Stefania, która tylko o dwa lata starszą była od większego z braci, stała się małą mateczką dla rodziny. Zamiast chodzić do szkół, pozostała w domu, przyrządzała żywność, przyszywała guziki i narządzała odzież ojca i braci, nosiła Lizę w ramionach. Zapomniano, że była córką i siostrą, prędko przyzwyczajono się do uważania jej za służącą i to za służącą, z którą się liczyć nie potrzeba, bo wiadano, że ona nigdy nie opuści domu i nigdy o nic gniewać się nie będzie.

Stefania nie miała czasu być dzieckiem, bawić się i śmiać. W czternastym roku życia twarzyczka jej była smutną i melancholiczną, jak u starej 35-letniej panny, choć rozjaśniał ją wyraz słodczy i rezygnacji.

Nie minęło ani pięć minut od chwili, w której zawiesiłem moją harfę na gwoździu, gdy opowiadając o tem, jak nas zmożyło zimno i znużenie przy powrocie

1) Pisze się: Acquin.

z Żantili, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć nocleg w kamieniołomie, posłyszałem naraz drapanie do drzwi wychodzących na ogród, a równocześnie żałosne poszczekiwanie.

— To Kapi, — rzekłem, wstając żywo.

Ale Liza uprzedziła mnie. — Podbiegła do drzwi i otworzyła je.

Biedny Kapi jednym skokiem był przy mnie, a gdy go chwyciłem w ramiona, począł mi lizać twarz, poszczekując radośnie. Drżał na całym ciele.

— A Kapi? — zapytałem.

Zrozumiano moje pytanie.

— Kapi pozostanie z tobą.

Pies jakby rozumiał, o czym mówiono, zeskoczył na ziemię i kładąc łapkę na sercu, ukłonił się.

To pobudziło dzieci do wielkiego śmiechu, a przede wszystkim Lizę. — Aby zrobić im jeszcze większą przyjemność, chciałem, by Kapi odegrał im jaką sztuczkę ze swego repertuaru, ale nie chciał mnie słuchać i wskoczywszy mi na kolana, zaczął mnie znów obejmować łapkami, a potem zeskoczywszy, ciągnął mnie ku drzwiom za rękaw.

— On chce, bym z nim wyszedł.

— Aby cię zaprowadzić do twego mistrza.

— Policjanci, którzy zabrali zwłoki Witalisa powiedzieli, że muszą mnie wypytać i że przyjdą po mnie w ciągu dnia, kiedy się już rozgrzeję i obudzę. Czekać na ich przybycie było mi za długo. Chciałem wiedzieć coś pewnego o Witalisie. Może nie umarł, jak przypuszczano. Toć i ja także nie umarłem. Mógł powrócić do życia tak, jak i ja.

Widząc mój niepokój i odgadując przyczynę tegoż ojciec zaprowadził mnie do biura komisarza, gdzie zadawano mi jedno pytanie po drugim, ale nie chciałem wpierv odpowiedzieć, aż dowiedziałem się, że Witalis nie żyje. Wtedy opowiedziałem wszystko, co wiedziałem. Ale komisarz chciał dowiedzieć się jeszcze więcej

i długo wypytywał się o wszystko, co się tyczyło Witalisa i mnie samego.

Co do mnie, to odpowiedziałem, że nie mam rodziców i że Witalis najął mnie za pieniądze, które zapłacił naprzód mężowi mej żywicielki!

— A teraz? — zapytał komisarz.

— My zaopiekujemy się teraz tym chłopcem, jeżeli pan chce go nam powierzyć, — wmieszał się ojciec.

Komisarz nie tylko chciał powierzyć mnie ogrodnikowi, lecz jeszcze pochwalił go za jego dobry uczynek.

Teraz trzeba było opowiedzieć wszelkie szczegóły o Witalisie, o którym jednak nic prawie nie wiedziałem. Był też punkt tajemniczy, którego wyjaśnić sobie nie umiałem, a tyczyło się to chwili, gdy na ostatniem naszym przedstawieniu Witalis wzbudził śpiewem swym zdumienie i podziw owej damy, a także i groźby Garofolego, ale sądziłem, że nie należy mi o tem mówić. To, co on tak starannie przez całe życie ukrywał, powinno być i po jego śmierci zachowaniem w tajemnicy.

Ale niełatwo jest dziecku ukryć coś przed komisarzem policyjnym, znającym swój zawód, gdyż tacy ludzie wzięwszy kogoś w krzyżowy ogień pytań, potrafią z niego wszystko wydostać.

To się mnie także wydarzyło.

W niespełna pięć minut komisarz wiedział już wszystko, co chciałem przed nim zamilczeć.

Trzeba zaprowadzić chłopca do tego Garofolego, — rzekł komisarz do policjanta; — gdy znajdzie się na ulicy Lursyn, rozpozna już ów dom. Pójdiesz pan z nim i wypytasz Garofolego.

Udaliśmy się we trzech w drogę: policjant, ojciec i ja.

Tak, jak komisarz powiedział, łatwo rozpoznałem dom i weszliśmy na czwarte piętro. Spostrzegając policjanta i poznając mnie, Garofoli pobrał ze strachu. Ale wnet uspokoił się, dowiedziawszy się z ust policjanta o powodzie naszego przybycia.

— Ach, biedny stary, umarł, — zawołał.

— Znałeś go pan?

— Doskonale.

— A więc powiedz pan wszystko, co pan wiesz o nim.

— To rzecz bardzo prosta. Jego nazwisko nie było Witalis, lecz Karło Balzani i przed mniej więcej czterdziestu laty był najsławniejszym śpiewakiem w całych Włoszech. Śpiewał on wszędzie: w Neapolu, w Rzymie, w Wenecji, we Florencji, w Londynie i w Paryżu. Ale pewnego dnia utracił głos, a nie mogąc pozostać królem artystów, nie chciał umniejszyć swej sławy występami w małych teatrzykach. Porzucił zatem nazwisko Karła Balzani i przybrał miano Witalisa, ukrywając się przed wszystkimi, którzy go znali za czasów jego wielkości. Ale trzeba było żyć! Próbował różnych zawodów, w których mu się nie wiodło i tak staczał się ze stopnia na stopień coraz niżej, aż stał się wodzicielem tresowanych psów. Ale w swej nędzy zachował jeszcze swą dumę i byłby umarł ze wstydu, gdyby ktokolwiek się dowiedział, że świetny Karło Balzani został biednym Witalisem.

W ten sposób wyjaśnioną została tajemnica, która mnie tak bardzo zaciekała.

— Biedny Karło Balzani, biedny Witalis!

XIX.

W domu ogrodnika.

Nazajutrz miano pochować mego mistrza i mój ojciec przybrany obiecał mi, że zaprowadzi mnie na pogrzeb.

Ale nazajutrz nie mogłem wstać, bo dostałem w nocy silnej gorączki. Zdawało mi się, że mam ogień w piersiach i że jestem tak chory, jak Żoliś po nocy spędzonej na drzewie, w śniegu.

Zapadłem na ciężkie zapalenie płuc wskutek zaziębienia się w nocy, w której mój biedny mistrz i ja upadliśmy wyczerpani przed drzwiami domu ogrodnika.

W czasie tego zapalenia płuc mogłem ocenić dobroć rodziny Akę, a nadewszystko poświęcenie Stefanji.

Choć zazwyczaj u biednych ludzi niema zwyczaju przywoływania natychmiast lekarza do chorego, ze mną uczyniono wyjątek. Doktor po krótkim badaniu rozpoznał chorobę, na którą zapadłem i orzekł, że powinno się mnie oddać do szpitala.

Było to w istocie najbardziej pojedynczem i najłatwiejszem; lecz ojciec nie podzielał tego zdania.

— Ponieważ on upadł przed naszymi drzwiami, — rzekł, — to nam należy się pielegnować go.

Lekarz sprzeciwiał się temu, ale na próżno.

Zatrzymano mnie w domu.

Stefanja do wszystkich swych zajęć dołączyła jeszcze zajęcie pielegniarki, doglądając mnie troskliwie, jakby jaka siostra miłosierdzia, bez żadnego zniecierpliwienia lub zapomnienia. W czasie, gdy musiała odchodzić odemnie do prac domowych, wtedy zastępowała ją Liza, którą często w napadach febry widywałem siedzącą w nogach mego łóżka, z oczyma utkwionemi we mnie z niepokojem. Wydawało mi się w gorączce, że ona jest mym aniołem stróżem i powierzałem jej moje najtajniejsze nadzieje i życzenia. Od tego czasu przyzwyczaiłem się do uważania jej za istotę idealną, otoczoną rodzajem aureoli i dziwiłem się, że taka istota żyła naszym życiem zamiast ulecieć w sferę nadziemską na swych białych skrzydłach.

Moja choroba była długą i bolesną i wracała się, ale cierpliwość i poświęcenie Stefanji nie wyczerpały się. Podczas kilku nocy trzeba było czuwać przy mnie, gdyż płuca były tak zajęte, że dusiłem się ustawicznie. Wtedy Aleksy i Benjamin zmieniali się kolejno u mego łóżka. Wreszcie zaczęło zdrowie wracać, lecz dopiero gdy wiosna pozieleniła łąki, mogłem wychodzić z domu.

Wtedy Liza, która nie pracowała, zajęła miejsce Stefanji i prowadziła mnie nad brzegi rzeki. Koło południa, gdy słońce jasno świeciło, wychodziliśmy, trzymając się za ręce, a za nami biegł Kapi. Wiosna była miła i piękna tego roku, a przynajmniej pozostało mi po niej miłe i piękne wspomnienie, co na jedno wychodzi.

Wreszcie powróciły mi siły i mogłem spełniać różne prace w ogrodzie. Nadszedł więc czas, którego oczekiwałem z niecierpliwością, — spieszno mi bowiem było do czynienia dla innych tego, co oni dla mnie czynili, to jest do pracowania dla nich, by się im odwdziżyć.

Praca, jaką mi wyznaczono z uwzględnieniem moich słabych jeszcze sił, polegała na podnoszeniu rano szkieł w inspektach ¹⁾, gdy przymrozek już minął i na spuszczeniu ich wieczorem przed nastaniem chłodu. W ciągu dnia okrywałem inspekta słomą z nawozem, aby ochronić rośliny przed żarem słońca.

Nie było to ciężką, lecz zmuśną pracą, bo miałem kilkaset szkieł od inspektów do podnoszenia i spuszczenia dwa razy dziennie i do zakrywania i odkrywania ich stosownie do ciepłoty słońca.

Niezawsze jednak używano mnie przy inspektach. — Siły powróciły mi i byłem zadowolony, że mogłem pomagać przy siewach, a jeszcze bardziej byłem zadowolony, gdy zobaczyłem wypuszczające kielki roślin. Było to dziełem mej pracy, z której byłem dumny; bo przynajmniej przydałem się na coś, a to uczucie wynagradza wiele cierpień.

Mimo trudów, związanych z mojami obowiązkami, przyzwyczailem się prędko do nowego trybu pracowitego życia, tak odmiennego od moich koczowniczych wędrówek. Napół mnie każdy pracował ciężko, zwłaszcza ojciec, którego koszula często mokra była od potu wskutek znoju. A przytem znalazłem tu to, co sądziłem.

1) Inspekta — oszklone zagoniki ogrodnicze.

że na zawsze dla mnie stracone, — życie rodzinne. Nie byłem już sam, nie byłem opuszczonem dzieckiem. Miałem moje łóżeczko, moje miejsce przy wspólnym stole. Jeżeli w ciągu dnia Aleksy lub Benjamin dali mi z żartów szturchańca, nie wzniosłem na nich mej ręki i wieczorem gromadziliśmy się razem, jako dobrzy przyjaciele i bracia.

Ale zaznawaliśmy nietylko pracy i trudu; mieliśmy także godziny odpoczynku i przyjemności, krótkie wprawdzie, lecz tem rozkoszniejsze.

W niedzielne poobiedzia zbieraliśmy się w małej altance winnej, przylegającej do domu. Zdejmowałem moją harfę z miejsca, gdzie przez cały tydzień na gwoździu wisiała i grałem moim dwom braciom i moim dwom siostrom do tańca.

Gdy się tańcem zmęczyli, śpiewałem im moje piosenki, a moja piosenka neapolitańska zawsze wywierała nieopisane wrażenie na Lizę. Wtedy, aby ją rozerwać, musiał pokazywać swe sztuczki Kapi, dla którego te niedziele były też dniami świątecznymi, gdyż przypominały mu przeszłość i skończywszy swą rolę, byłby ją zawsze najchętniej raz jeszcze odgrywał.

Ojciec zanim jeszcze osiedlił się jako samodzielny ogrodnik, pracował wpierw przy rządowych szkołkach owocowych i tam miał okazję spotykania się z ludźmi, wiedzy, którzy zachęcili go do czytania i do uczenia się. W przeciągu wielu lat zakupywał za swoje oszczędności książki, które czytywał w wolnych chwilach. Ale gdy się ożenił i gdy przybywały dzieci, wolne chwile stawały się coraz rzadszemi. Trzeba było zarabiać na chleb powszedni. Książki poszły w zapomnienie, choć nie zagubiono ich, ani nie sprzedano, lecz znajdowały się zamknięte w szafie. — Pierwsza zima, którą spędziłem u rodziny Akę, była bardzo długa. Prace w ogrodzie musiały być przerwane przez kilka miesięcy. Wtedy, aby nas zająć wieczorami, jakie spędzaliśmy przy domowem ognisku, wyciągnięto z szafy stare

książki i rozdzielono je między nas. Były to przeważnie dzieła o przyrodzie, historia roślin i opisy podróży. Aleksy i Benjamin nie odziedziczyli po ojcu chęci do nauki i zazwyczaj co wieczór otworzywszy książkę, zasypiali nad nią już po przeczytaniu trzech lub czterech stron. Co do mnie, to czytywałem ciekawie aż do chwili, w której musieliśmy udawać się na spoczynek. I tak nie poszły na marne pierwsze lekcje, jakich mi Witalis udzielał, więc też wspominałem go z rozrzewnieniem.

Liza nie umiała czytać, ale widząc mnie pochłaniającego książki, skoro tylko miałem wolną chwilę, zaciekawioną była, co mnie w tych książkach tak zajmuje. Początkowo chciała mi odbierać te książki, które odrywały mnie od zabawy z nią, potem widząc, że jednak powracam do tych książek, domagała się, bym jej takowe odczytywał. Było to nowym węzłem między nami. Liza zaś znalazła w tem rozrywkę i pokarm duchowy.

Wiele godzin tak przepędziliśmy; ona siedząc przedemną i nie spuszczać mnie z oczu, a ja czytając. Często zatrzymywałem się, napotykając słowa, lub ustępy, których nie rozumiałem i spoglądałem na nią pytająco. Nieraz długo szukaliśmy takowych, dawała mi znak, bym dalej czytał, ruchem, który wyrażał: „później dowiemy się“. Nauczyłem ją też rysować, choć byłem sam nieumiejętnym nauczycielem. Nauka trwała długo i była trudną, lecz jakąż była radość, gdy Liza wykonała swój pierwszy rysunek, na którym można rozpoznać było przedmiot, który chciała odtworzyć.

Ojciec Akę uściskał mnie.

Nie zrobiłem głupstwa, biorąc cię do siebie, — rzekł. — Liza odwdzięczy ci się później.

Później, to jest wtedy, kiedy mówić będzie, bo nie stracono nadziei, że mowa przywróconą jej zostanie; — tak twierdzili doktorzy.

Liza chciała także, abym nauczył ją grać na harfie i bardzo prędko nabyła w tem wprawy. Nie mogła jednak uczyć się śpiewu i to ją martwiło. Wiele razy widziałem łzy w jej oczach i te łzy mówiły mi o jej smutku. Ale przy jej dobrem i łagodnem usposobieniu smutek nie mógł być długotrwałym. Ocierała sobie oczy, a jej zrezygnowany uśmiech mówił mi: „później“.

Przyjęty za syna przez ojca Akę i uważany za brata przez jego dzieci, nie byłem już 'sam na świecie. — Miałem cel w życiu — być użytecznym i sprawiać radość tym, których kochałem i którzy mnie kochali.

Nie byłem już „bez rodziny“.

K o n i e c.

